Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 28. Marca 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 13.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Jaką powinna być opieka nad ubogimi.

Nie wiele jest krajów w środkowej Europie, gdzieby tylu było żebraków co u nas w Galicji. Przyczyną tego jest z jednej strony bieda i nędza, trudność zarobku, a z drugiej może też więcej ludzkości goszczącej w sercach naszych, nie oziębionych materjalizmem tegoczesnym. O lepsze uorganizowanie pomocy dla ubogich i dotkniętych nędzą, nieraz już upominało się dziennikarstwo, ale dotychczas napróżno; chociaż krajowi służy nie tylko ten co buduje koleje, zakłada banki, lub urządza towarzystwa przemysłowe, lecz i ten także kto choć jednego z braci wyciągnie z moralnego upadku, kto go skieruje na drogę pracy i uczciwości, kto podtrzyma pierwsze kroki jego, i z człowieka, który był ciężarem dla społeczeństwa, uczyni pożytecznego obywatela. Praca ta nie jest głośną, ani świetną, związana z wielu nieprzyjemnościami, lecz daje sercu milszą nagrodę aniżeli jakiekolwiek inne prace, bo nagroda ta leży w poczuciu spełnionego obowiązku względem kraju i względem ludzkości.

W Szwajcarji już od dawna istnieją towarzystwa mające na celu wykorzenienie żebractwa, a dopomożenie prawdziwej biedzie i nędzy, a jak się tam wzięto do rzeczy — opowiem w nadziei, że i u nas ktoś może zechce zawiązać podobnie piękne stowarzyszenie, tem więcej, że nie brak do tego materjału w naszem społeczeństwie.

Dla zapobieżenia wielkim nadużyciom wypływającym z żebractwa, w Szwajcarji utworzono w każdem większem mieście bióro centralne zapomogi, które ma na celu: 1. Pomagać ubogim nie mającym innego utrzymania, jak wypraszanie pomocy, nie zachęcając ich jednak ilością wsparcia do tego politowania godnego przemysłu. 2. Przynosić skuteczną pomoc ubogim, których nieszczęśliwe wypadki w nędzę wtrąciły.

Dla dopięcia pierwszego celu, wytępienia, czyli właściwiej mówiąc zmniejszenia żebractwa, obywatele miasta obowiązują się odmawiać wszelkiej jałmużny żebrakowi, zamieniając datek kartką, za której okazaniem żebrzący otrzyma w biurze stowarzyszenia odpowiednie wsparcie w naturze, to jest chleb, zupę, odzienie, bilet na stancję i t. d.

Pod słowem „odpowiednie" rozumie się takie wsparcie, które nie zachęcą do żebractwa, ale nie jest znów tak małe, ażeby żebrak głód cierpiał. Jest to najlepszy środek zwalczenia plagi żebractwa. O znakomitych rezultatach jego można sądzić z dat staystycznych. Weźmiemy naprzykład sprawozdanie podobnego towarzystwa zawiązanego w Lozannie, stolicy kantonu Vaud. Utworzone w tem mieście przed trzydziestu laty biuro, wydało w ciągu pierwszych czterech lat swego istnienia 6.877 fr. to jest w przecięciu 1.720 fr. rocznie; w następnych czterech latach wydatek wynosił 4.688 fr. t. j. rocznie 1.172 fr. w ostatnich zaś czterech latach biuro wydało 3.070 fr. to jest przeciętnie po 768 fr. na rok. Ze względu, że miara pomocy każdemu żebrakowi udzielanej, zostawała w tym czasie niezmienną, należy z tych cyfr wnosić, że ilość żebractwa zeszła tam prawie do trzeciej części.

Ubywanie to nie powinno dziwić nikogo, bo podobna instytucja zniechęca rozmyślnych żebraków, a dobroczynnym ludziom daje pewność, że prawdziwe cierpienie ulgi doznaje. Instytucja taka zapobiega dwom przyczynom żebractwa: lenistwu i zepsuciu z jednej strony, a źle pojętemu miłosierdziu z drugiej. W samej rzeczy, człowiek nie lubiący pracy, chętniej będzie chodził od drzwi do drzwi, aby wyżebrać daleko więcej niżby zarobił pracą stałą i pilną — ma się rozumieć wtedy, gdy znajdzie osoby co mu jałmużnę dadzą. Lecz gdy te same osoby, które mimowolnie zachęcają do żebractwa, odmówią wszelkiej pomocy, zamieniając jałmużnę gotówkową na kartkę, przemysł ten upadnie, podcięty u samej podstawy. Nic to nie znaczy, iż żebrząc dzień cały uzbiera wiele kartek, bo dla biura centralnego tylko jedna kartka jest ważną i daje prawo tylko do jednodniowej pomocy.

Dawniej nie jeden z żebraków wracał wieczorem do domu, przynosząc 5—10 franków uzbieranych i mnóstwo datków w naturze. Dzięki stowarzyszeniu, dziś, ci sami żebracy zeszli na porcję zupy i chleba dziennie. Dla tego też wielu z nich przekonawszy się, że przy systemacie kartek, rzemiosło ich nie warte zachodu, zabrało się do pracy więcej produkcyjnej.

Korzyść z podobnych biur, wykorzeniających żebraninę jako przemysł — widoczna: lecz instytucja ta nie mniej jest korzystną i dla osób, które pierwiej udzielały jałmużnę u drzwi swoich, bez żadnej kontroli. Największa część ich wie, że nie tylko mogą być, lecz że i są w rzeczy samej oszukiwani przez żebraków, a jednak dają, obawiając się żeby odmowa nie dotknęła prawdziwie ubogich, prawdziwie nieszczęśliwych.

Przy systemacie kartek ta obawa znika i miłosierne serce nie ma się czego obawiać. Lecz nie dosyć tego, że upadną obawy miłosiernych ludzi, potrzeba jeszcze ażeby się oni przejęli tą prawdą, że żebractwo jest jedną z plag kraju, szkodą dla prawdziwie ubogich i nieszczęśliwych a nareszcie i dla samych żebraków.

Żebractwo jest plagą kraju, bo jest nieużyteczne i niszczy zasoby nic nie produkując. Żebractwo jest krzywdą dla prawdziwie ubogich, gdyż kwota poświęcana nędzy przez społeczność jest ograniczoną; jeżeli więc żebractwo pochłania znaczną jej część, prawdziwie nieszczęśliwi są wystawieni na cierpienia i nie ma możności im dopomódz.

Żebractwo jest wielkiem nieszczęściem i dla samych żebraków, bo chcąc im dopomódz, w istocie rzeczy szkodzi się im okropnie. Dobrodziejstwo przestaje być dobrodziejstwem, skoro staje się przyczyną demoralizacji. Demoralizujemy zaś człowieka, dając mu jałmużnę, bo wy-

tępiamy w nim zdolności fizyczne i moralne. Zajrzyjmy do kronik sądowych, a przekonamy się, że bardzo wielu ludzi jałmużna wtrąciła w otchłań nędzy i występku.

Oprócz tego potrzeba, ażeby dobroczynne osoby zrozumiały dobrze, iż prywatna dobroczynność nigdy nie może zniszczyć lub zmniejszyć żebractwa, przeciwnie — dając jałmużnę, nie zasiągnąwszy poprzednio szczegółowych o żebraku wiadomości, tworzy się i podtrzymuje żebractwo. Osoby dobroczynne powinny kwotę przeznaczoną dla ubogich wręczyć uorganizowanemu Towarzystwu pomocy, które jedynie zdoła położyć tamę temu smutnemu przemysłowi. Lecz jeszcze raz powtórzymy, że potrzeba, ażeby publiczność powzięła mocne postanowienie, dała sobie słowo, nie udzielać wsparcia tym, którzy przyjdą do ich drzwi z opowiadaniem smutnych powieści, najczęściej zmyślonych. Dając tylko kartkę takiemu człowiekowi, oddadzą mu prawdziwą i wielką usługę, ukazując mu w prawdziwem świetle drogę, na którą wstąpił. Jeżeli w nim tkwi choć iskierka osobistej godności, to nawróci się sam i szukać będzie pomocy w pracy i we własnych siłach; jeżeli zaś stracił wszelkie poczucie honoru — będzie do pracy zmuszony.

Dalej biura pomocy nie zajmują się jedynie żebrakami, lecz i ludźmi prawdziwie ubogimi, których nieszczęście zmusiło do żebractwa.

Sposób dawania pomocy jednym i drugim różni się stosownie do kategorji. Przynosząc ubogiemu ulgę materjalną, Towarzystwo zwraca uwagę na przyczynę jego nieszczęścia i wyszukuje środki zaradcze dla pokonania przeszkód, które dla pozostawionego samemu sobie człowieka, bywają często nie do zwalczenia. A gdy nareszcie są to wady i nałogi, miłość chrześcijańska kierując radą, pieczą i dozorem, może posłużyć za najlepsze lekarstwo.

Jeżeli biuro pomocy chce dopełnić pięknego dzieła swego i moralnie wpłynąć na tych, co stoją na różnych stopniach rozdzielających ubogiego wstydliwego, od nałogowego żebraka, to musi koniecznie znać przeszłość ich, prawdziwe położenie i okoliczności, w których się znajdują. Biuro przeto musi mieć szczegółowy rejestr rodzin z wymienieniem wszystkiego, co ich dotyczy; wtedy tylko pomoc udzielana będzie stosowną i skuteczną, wtedy tylko wpływ moralny będzie możebnym do osiągnięcia.

Dla podniesienia rodzin z upadku potrzebną jest dwojaka pomoc: materjalna i moralna. Pierwszą dać może biuro pomocy, druga zaś opiera się na bezpośrednim wpływie dobroczyńcy i przyjaciela na ubogiego. Ta więc część powinna być zostawioną członkom Stowarzyszenia, którzy albo sami się podejmą tej opieki, albo też na wezwanie komitetu zechcą odwiedzać rodzinę jaką lub osobę i zająć się nią sumiennie.

Lecz żeby ta druga, trudniejsza daleko część powiodła się, potrzeba ażeby członkowie, którzy podjęli się odwiedzania ubogich, dobrze pojęli swój obowiązek i całą jego doniosłość. Przyjaźń, którą okazuje się nieszczęśliwemu, uwagi i współczucie przyjacielskie, zachęta i pociecha religijna, są często milszemi i potrzebniejszemi od materjalnej pomocy. Takiem postępowaniem z ubogimi kształci się i podnosi z upadku nietylko pojedyncze osoby, lecz całe rodziny.

Oto jest cel, do którego dążą Stowarzyszenia szwajcarskie.

Wielką tę i trudną sprawę i u nas koniecznie przeprowadzić należy, jeżeli kraj chce się dźwignąć z upadku. Ale do tego jest potrzebnem poparcie moralne wszystkich osób, bez różnicy stanu i wyznania, a szczególniej poparcie duchowieństwa i naszych zacnych pań.

Rzuciwszy te myśli, pozostawiamy innym zastosowanie ich do stosunków i potrzeb miejscowych. Mężczyzni powinni stanąć na czele takiej instytucji, wymagającej wiele zachodu i energji, lecz samą myśl zaprowadzenia u nas podobnych towarzystw, oddajemy pod protekcję kobiet, bo u nich wszystko co jest wzniosłe i piękne najprędzej znajdzie poparcie.

W końcu przytaczamy ustawę centralnego biura pomocy dla ubogich, istniejącego w jednym z kantonów szwajcarskich.

Art. I. Biuro ma obowiązek zajmowania się biednymi, którzy się wykażą albo kartą ustanowioną, albo rekomendacją jednego z członków stowarzyszenia.

Art. II. Biuro składa się z komitetu, pracującego bezpłatnie. Komitet mianuje dyrektora, który może być płatnym.

Art. III. Dyrektor będzie przyjmował interesentów w osobnem pomieszkaniu, otwartem przez trzy godziny dziennie.

Dyrektor udziela każdemu posiadającemu kartkę, potrzebną na dzienne utrzymanie zapomogę, a w sobotę wieczorem rozdziela pożywienie na dzień niedzielny. Pomoc ta wydaje się zawsze w naturze (chleb, zupa, odzież itp.),

Art. IV. Dyrektor będzie utrzymywał wykazy biednych, którzy przychodzić będą z kartkami i zanotuje ich nazwiska i pomieszkania. Informacje powinny być dość szczegółowe, ażeby przy udzielaniu wsparcia można utrzymywać pewną kontrolę, odmawiając pomocy takim, których prowadzenie się jest bardzo złe.

Art. V. Dyrektor zapisywać ma również rodziny ubogich polecone przez stowarzyszonych. Po sprawdzeniu ich prawdziwego położenia, każda rodzina będzie poruczoną opiece jednego z członków, którego wezwie komitet, lub który sam podejmie się częstego jej odwiedzania.

Art. VI. Komitet postara się o dostarczenie członkom środków, jakie ci uważać będą za konieczne potrzebne dla rodzin, któremi się podjęli opiekować. Ci co wolą sami zapobiegać potrzebom swoich ubogich, obowiązują się uwiadamiać komitet o ilości udzielanej pomocy.

Art. VII. Pomoc udzielona biednej rodzinie nie może być jej wręczoną inaczej jak przez członka, który się podjął opieki nad nią.

Art. VIII. Udzielane wsparcie nie powinno mieć charakteru stałego, lub pensji, lecz tylko czasowej zapomogi do czasu, aż położenie ubogiego nie polepszy się.

Art. IX Komitet zajmuje się odsyłaniem na miejsce urodzenia tych, którzy pochodzą z innych okolic i nie mają środków utrzymania.

Art. X. Każda osoba która płaci minimum 6 fr. rocznej wkładki, jest członkiem Stowarzyszenia i ma prawo do otrzymania kartek, które będzie rozdawała ubogim. Na kartkach tych są oznaczone: adres biura i godziny urzędowania (od godziny $10-11\frac{1}{2}$ z rana i od $5-6\frac{1}{2}$ wieczorem.) Kartki wydawane będą członkom przez dyrektora.

Art. XI. Komitet obowiązanym jest zwoływać przynajmniej raz na rok wszystkich członków Stowarzyszenia, dla zdania im rachunku z czynności swoich.

Ogólne zebranie wybiera i zatwierdza członków komitetu, oraz czyni w statutach zmiany, jakie będzie uważało za potrzebne dla dopięcia celów materjalnych i moralnych, do których dąży Stowarzyszenie.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

(W którym miłość i polityka robią zadziwiające postępy, a sekretarz Kluszczyński omal nie zostaje admirałem floty landweryjskiej).

Nieparlamentarny przydomek, którym zakończyliśmy rozdział poprzedzający, znalazł szerokie echo w Wilkowie, jakkolwiek rozległ się był tylko w jednej komnacie myśliwskiego zamku w górach Monomotapa. Niezrównany Języczkowski parafrazował go w *Szturchańcu* na różne sposoby, w dowcipnych wierszach i w złośliwych rycinach. Podczas gdy atoli hr. Skirgiełło oddał sprawiedliwość temu tylko, komu ją oddać należało, *Szturchaniec* wziął się do całego grona politycznych przyjaciół dr. Mitręgi. Nie przebaczył ani sekretarzowi Kluszczyńskiemu, ani innym dyplomatom, a dostało się i Stanisławowi, który Bogu był ducha winien. Humoryści zawsze są tak nielitościwymi. Języczkowski w kilku rysach pełnych zjadliwej satyry wskazał, jak »grono« zawiązało się przeciw kandydaturze Ciemięgi, jak niefortunnie przeciw niej walczyło, i jak jeszcze niefortunniej podniosło ją w końcu samo. Muszę nawet wyznać otwarcie, że całą polityczną kanwę dotychczasowego mojego opowiadania wziąłem ze sprawozdań *Szturchańca*. W obec takich napadów, stanowisko *Orędowniczki* było bardzo trudnem do utrzymania — cóż bowiem począć z przeciwnikiem, o którym nie da się powiedzieć nic więcej jak tylko to, że ma jednę nogę krótszą od drugiej? A tymczasem, oficjał Kostruba przynosił aż do Lejzora na miód egzemplarze nieznośnego pisemka humorystycznego, i mszcząc się za różne szykany, których zwykle padał ofiarą, porównywał karykatury *Szturchańca* z fizjognomiami swoich prześladowców, znajdując, że trafiono je doskonale. Tymczasem także *Orędowniczka*, szpaki, Marcin i inne narzędzia akcji politycznej zrobiły już były bardzo znaczny wyłom w owym zapasie idealników, który dr. Mitręga otrzymał był od hr. Skirgiełły. Stosownie do instrukcji, którą otrzymał był swojego czasu, udał się do adwokata, dr. Ściślewicza. Ten odpowiedział mu, że hrabia kazał sobie tylko zaprenumerować *Szturchańca*, bo jest cierpiącym wskutek przeziębienia i nudzi się bardzo — ale o *Orędowniczce* nic nie wspominał.

Potrzeba było koniecznie coś na to poradzić, muszę bowiem oświadczyć z góry, że własne fundusze dr. Mitręgi były poniekąd już wyczerpane na kilka lat przed

jego urodzeniem. Składały się one z majętności tabularnej Wielkie i Małe Znikło, z Niebywałami i Wulką Niebywalską, obejmującej razem, według »Skorowidza W. W. ks. ks. Milicji i Landwerji z uksiążęconem hrabstwem Sokołowskiem«, 2 morgi »łąk i ogrodów« i 3 morgi »pastwisk«. Dawały one wprawdzie właścicielowi swemu prawo do żądania arendy w wysokości 300 id. od karczem, pobudowanych w owych 4-ech osadach, i do prowadzenia procesu o przyległe 2 morgi lasu i wikliny, ale ponieważ karczmy owe powaliły się były właśnie, jak mówiłem, na kilka lat przed urodzeniem dr. Emanuela, więc arendarze, pobudowawszy się na nowo własnym kosztem, nietylko odmawiali zapłacenia tenuty, ale co gorsza, zasekwestrowali wyliczone powyżej grunta dworskie, wskutek czego majątek dr. Mitręgi składał się właściwie tylko z jednego większego procesu i czterech mniejszych — co, jak każdy przyzna, wystarczało wprawdzie do używania korony o trzech listkach i dwóch perełkach, ale nie mogło wystarczyć na utrzymanie *Orędowniczki*, szpaków i Marcina. Tak tedy, w raju dr. Mitręgi znalazły się naraz ciernie.

Szczęściem, przypomniał on sobie ze słów suchej odprawy, jaką otrzymał był od dr. Ściślewicza, że hrabia Albin jest cierpiącym i nudzi się bardzo. Z szybkością decyzji, właściwą wyższym umysłom, postanowił on działać na zasadzie tej informacji. Wpadł do redakcji i zapowiedział Stanisławowi, że wyjeżdża na kilka dni w bardzo ważnym interesie. Prosił go, ażeby w jego nieobecności dobrze doglądał *Orędowniczki*, i ażeby się udał do sekretarza Kluszczyńskiego z wiadomością o jego wyjeździe, i z prośbą, ażeby aż do jego powrotu zaniechano wszelkiej »akcji«, zważywszy, iż podróż ta wpłynie rozstrzygająco na wszystko, co się ma dziać w Wilkowie. Tymczasem Marcin pakował już w hotelu rzeczy swojego pana, i ten w pół godziny później siedział już w dyliżansie i dążył w góry, ku miejscu pobytu hr. Albina.

Stanisław nie tylko nie zmartwił się wyjazdem swego pryncypała, który nie brał żadnego czynnego udziału w redagowaniu *Orędowniczki*, ale ucieszył się nawet z misji, którą mu poruczono. Od czasu jak zamienił katedrę na biurko w redakcji, zdawało mu się, że dr. Mitręga stał się właścicielem wszystkich godzin jego czasu, przepędzał więc poranki, dnie i wieczory przy pracy, i jeszcze sobie wyrzucał, że sypia nocami, zamiast obracać je na wywdzięczenie się swemu dobrodziejowi i chlebodawcy. Oczywista rzecz, że w takich warunkach nie widział ani razu panny Natalji, i tylko duchem bawił przy niej, gdy pisał fejletony. Byłby tam bawił może także, pisząc *leadery* i sprawozdania handlowe, ale to przecież jakoś nie uchodziło. Już i fejletonom zarzucano, że były nad miarę płaczliwe, a *Szturchaniec* otworzył na to *conto* osobną rubrykę p. t. »fletotony«, w której nasz bohater miał się z pyszna. Obecnie zdarzała się sposobność oglądania panny Natalji oczyma ciała, i serce mu biło z radości na tę myśl samą.

Muszę się tu zastrzedz, że jeżeli powiadam, iż Stanisławowi »biło serce,« to oddaję jedynie hołd zwyczajowi powieściopisarskiemu, nie opartemu bynajmniej na prawdzie fizjologicznej. Prawdą fizjologiczną jest, że w wypadkach podobnych nie bije nam serce, ale doświadczamy raczej jakiejś na pół przyjemnej nudności w okolicy żołądka. Lecz skoro już raz napisałem: serce, to niech będzie serce — jednakowo uważam, że pisząc już szósty rozdział tej powieści, bardzo mało znalazłem w niej dotychczas miejsca na to, co zdaniem łaskawych czytelniczek i niełaskawych powieściarek powinno być główną treścią każdego »romansu«, t. j. na sprawy serca. Pochodzi to ztąd, że jestem realistą, i że przeto na żaden sposób nie mogę miłości przyznać więcej miejca w powieści, niż ona go zajmuje w życiu. W życiu zaś, zajmuje go ona bardzo mało, a najczęściej, nic wcale. Kto się kiedy kocha na prawdę? Chyba człowiek w tym wieku i z tem nieśmiałem usposobieniem, co Wołodecki. — Inni nie mają czasu kochać się, bo zdobywają serca szturmem — inni znowu, kupują sobie kobiety albo sprzedają im się za posag. Tego rodzaju transakcje zbyt są jednostajne, by warto o nich pisać tyle, ile się pisze. Błogo mi, że mam na kanwie młodzieńca na serjo zakochanego!

Wybierał się tedy Stanisław do pp. Kluszczyńskich, ale nim się wybrał, musiał jeszcze dopilnować wyjścia numeru i odebrać pocztę. Między listami był jeden do niego, od matki, z którego wyjątki muszę tu powtórzyć, jako ważne dla mojego opowiadania.

»Musi to być bardzo szlachetny człowiek, ten pan doktor Mitręgowski, o którym mi piszesz — mówiła pani Wołodecka. — Niechaj błogosławieństwo staruszki, i matki, przyczyni mu szczęścia i powodzenia w życiu, za to, że ci tak w porę podał rękę pomocną. Wiem, że nie potrzebuję ci przypominać, jak dalece powinieneś mu być wdzięcznym, bo ty także jesteś dobrym, bardzo dobrym, kochany Stasiu. Dałam Salewiczowej całą setkę, którą przysłałeś, za ten jakiś jej los — choć żydzi wciąż powiadają, że to nie ma żadnej wartości — najwięcej 20 idealników. Ale mniejsza o to, wolałam udać, że kupuję za 100 idealników, niż pożyczać, bo najprzód babina byłaby się ciągle turbowała, zkąd oddać, a potem jej syn ladaco dowiedziawszy się, że matka ma przyjaciół, którzy jej pożyczają pieniędzy, narobiłby nowych długów. Nie uwierzysz, jak mi dziękowała, i co mówiła o tobie, aż mi serce rosło z dumy macierzyńskiej. I co ty na to powiesz, że Pan Bóg wyraźnie chciał nagrodzić nam tę drobną przysługę, którą wyświadczyliśmy Salewiczowej? Pamiętasz może tę sumę 8000 id., którą nieboszczyk ojciec miał na hipotece u hrabiego Łapińskiego? Była ona gdzieś aż na dziesiątem miejscu w tabuli, czy jak to się tam nazywa — dosyć, że przez trzydzieście lat nikt nie widział procentu ani kapitału, i wszyscy mówili, że gdyby przyszło do licytacji majątku, to wszystko przepadnie. Otóż teraz, jak się pokazuje, powstały jakieś niemieckie banki, które pożyczają na dobra dwa razy więcej, niż one warte, i hr. Łapiński postarał się o taką pożyczkę, ale mu kazali poprzednio oczyścić tabulę. Dosyć że wpadł tu do mnie jak bomba plenipotent pana hrabiego i zaczął mi prawić coś o jakichś konsensach tabularnych, skryptach i kwitach, z czego tyle wyrozumiałam, że coś przecież odbierzemy. Powiedziałam mu, że ty jesteś także spadkobiercą po nieboszczyku ojcu, i że bez ciebie nic zrobić nie mogę — ale że im pilno, więc musiałam z nim iść do notarjusza i podpisać pełnomocnictwo na twoje imię, z którem p. plenipotent zaraz jedzie do Wilkowa, i zobaczysz go jeszcze może prędzej, nim mój list odbierzesz. Zawsze ty sobie prędzej dasz radę z tą sprawą odemnie. Szczególny zbieg okoliczności! Los kupiony u Salewiczowej ma numer 1484 i ten sam numer powtarzał się wszędzie na papierach, które mi pokazywał plenipotent Łapińskiego.«

W istocie, nim jeszcze Stanisław wstał od biurka, wpadł i do niego jak »bomba« ten sam plenipotent, bo pońoś licytacja wisiała nad majątkiem p. hrabiego i pilno mu było »oczyścić tabulę«. Błogosławiona jakaś formalność wymagała koniecznie, ażeby sprawa tego rodzaju musiała być załatwioną u notarjusza, inaczej Stanisław byłby niezawodnie przystał na propozycję p. plenipotenta, ażeby się kontentował trzecią częścią lub połową należącej mu się sumy. Ponieważ atoli znajdują się częstokroć notarjusze uczciwsi od plenipotentów, i ponieważ najbliższy notarjusz wilkowski należał do ich rzędu, więc nie dał przynajmniej co do kapitału zrobić krzywdy Wołodeckim i rzecznik hr. Łapińskiego mógł się czuć szczęśliwym, że strona przeciwna nie nalegała na zwrot procentów, od 30 lat zaległych. Dosyć, że Stanisław, wysłuchawszy tekstu rozmaitych dokumentów prawnych i położywszy na nich swój podpis, ocknął się nagle jak ze snu, znajdując się ni ztąd ni zowąd za stolikiem u notarjusza z pakietem 8000, mówię: ośmiu tysięcy, idealników w ręku. Jako matematyk, obliczył on na prędce, że wobec bieżącego kursu listów zastawnych, suma ta przedstawia rentę pięciuset idealników rocznie — ale jakoś nie mógł uwierzyć własnym oczom, że wraz z matką jest posiadaczem tak olbrzymiego kapitału. Nie było wszakże rady — potrzeba było prosić poczciwego notarjusza o pożyczenie arkusza papieru, zrobić z niego okładkę na idealniki, włożyć je do najbezpieczniejszej kieszeni na piersiach, i wyjść...

Szanowny czytelnik przypomina sobie może, że kiedy dr. Mitręga wychodził z podobnym ładunkiem od hr. Skirgiełły, i spotkał po drodze p. Światozmysła Oxenszlepa, to był niepospolicie wielkim. Stanisław nie czuł się tak bardzo wywyższonym nad ogół ludzkości, ale też wcale nie był małym. Posiadanie »kasy« nadaje każdemu z nas niejaką pewność sobie — jakkolwiek są wyjątkowo ludzie trwożliwi z milionami w kieszeni, i ludzie zuchwali bez grosza przy duszy. Ogół atoli śmiertelni-

*

ków ma fantazję w miarę pugilaresu. Przypominam sobie, że kiedy byłem dzieckiem i bałem się duchów, anektowałem czasem w skrytości (nienabity NB.) pistolet ojcowski i wydobywałem go z pod poduszki, ile razy mysz skrobnęła. To dodawało mi niepospolitej odwagi, jakkolwiek świadczyło niedobrze o moich wyobrażeniach pod względem militarnej odwagi P. T. pp. duchów. W podobny sposób, dorosłemu, pieniądz dodaje »rezonu« nawet w tych wypadkach, w których bezpośrednio nie może być użyteczniejszym od owego nienabitego pistoletu, któregoby miał nastraszyć się JW Lucyper, udrapowany w białe prześcieradło i brząkający łańcuchami. Dla czego, pytam, oto np. p. baron Józio Bezczelnicki naraża się tak śmiało na wyrzucenie z teatru, albo na obicie na ulicy? Bo czuje w kieszeni wczorajszą wygraną z dżokiej-klubu! Niech-noby mu się karta stale sprzeniewierzyła, albo niech-noby się poczuł dyurnistą na schyłku miesiąca, a zobaczylibyśmy, jakimby był potulnym.

Nie powiadam ja, ażeby mój bohater czuł się odrazu baronem Józiem Bezczelnickim — broń mię Boże od takiego bohatera! Ale czuł się naraz człowiekiem bardziej statecznym, bardziej osiadłym — czuł przytem, że egzystencja jego matki nie będzie już zawisłą od kaprysu oberkomisarza, albo od powodzenia *Orędowniczki* — czuł nakoniec, że w danym razie, będzie mógł odpowiedzieć na zapytanie: »*Mamy* realność w Stawiczanach, i 10.000 idealników nominalnie w listach zastawnych.« Jakakolwiek mogła być przyszłość prasy perjodycznej w Milicji i Landwerji, brzmiało to jakoś lepiej i pozytywniej, niż: Mam 1500 idealników pensji w redakcji *Orędowniczki*.«

Ztąd poszło że Stanisław zaprezentował się w »dworku na przedmieściu« z pewną swobodą i powagą w ruchach i słowie, niezwykłą u niego i niewidzianą. Sekretarzowi zaimponował formalnie donosząc mu o powodach wyjazdu dr. Mitręgi i o potrzebie powstrzymania na razie wszelkiej dalszej »akcji« aż do nadejścia depesz i instrukcyj z głównej kwatery. Co więcej, kiedy sekretarz zerwał się, ażeby pójść donieść przyjaciołom politycznym o tym ważnym wypadku, i powstrzymać wszelką akcję, jakaby się przypadkiem gdzie wykłuć mogła, i kiedy go zapytał, czy nie zechce mu towarzyszyć na poufne zebranie grona, on odparł bez namysłu:

— Ach, nie! Tak dawno nie miałem sposobności rozmawiać z paniami, że jeżeli pozwolą, to się zaproszę na kawę.

O cudowna mocy ośmiu tysięcy idealników! Stanisław sam się zapraszał na kawę, po sześcioletniej zaledwie znajomości!

(C. d. n.)

Jedna z tajemnic Petersburgskich.

Pod tym tytułem dziennik *Nowoje Wremia* umieścił zajmujące opowiadanie o niedawnem zdarzeniu, na faktach prawdziwych opartem, które powtarzamy z powodu, że występuje w niem na jaw pewna charakterystyczna strona arystokracji rosyjskiej, nie wiele dotąd znanej. Słusznie autor zamiast powiedzieć po prostu „tajemnica" dał tytuł, „jedna z tajemnic." W towarzyskiem życiu nad Newą nie brak tajemnic, ukrytych częstokroć pod kirem zbrodni i okropnych nieszczęść; lecz gdy dotyczą one wyższych warstw społeczeństwa, prasa milczy, i tylko rzadko ośmieli się uchylić zasłonę, i to w przypadku, gdy chodzi o człowieka nie należącego do kasty uprzywilejowanej.

Wprawdzie zbrodni i nieszczęść nigdy w Petersburgu nie brakło, ale nigdy ich tyle nie było co dziś. Nie ulega wątpliwości, że ze wszystkich narodów kuli ziemskiej, naród rosyjski przedstawia obecnie najciekawszy widok dla myślącego człowieka. Nie mówiąc już o stronie politycznej, zwróćmy uwagę na życie powszednie, a ujrzymy doprawdy niepospolite zjawiska. Rozpasanie i niepohamowana chęć dogodzenia sobie we wszystkiem, są na porządku dziennym. Kobiety wyższego towarzystwa odgrywają role kurtyzanek i oszustek, a następnie jako zbrodniarki idą na Sybir;*) miljonerowie kupcy i nie-kupcy w dzikiej orgji trwonią w noc jedną fortuny krociowe, zdolne zapewnić utrzymanie dziesięciu rodzinom na całe życie; oficerowie cesarskiej gwardji mordują po dwóch naraz ludzi dla zmazania długów, lub uwolnienia się od zobowiązań, adwokaci z notarjuszami pomagają do fałszowania testamentów, a w Połtawie i Charkowie, za podrabianie banknotów, widać na ławie oskarżonych kilku majętnych obywateli (pp. Łutkowskich braci; nazwisk innych nie pamiętamy); tu mąż morduje lub sprzedaje żonę, a tu żona truje męża, a oboje należą do wyższego towarzystwa **); z duchownych seminarjów wychodzą nie kapłani, lecz nihiliści; bezustanne i dotąd trwające wyroki sądów wojennych skazują na wydalenie ze służby lub Sybir pułkowników, intendentów lub oficerów niższych za kradzieże grosza publicznego; damy kameljowe załatwiają interesa ministrów; ***) popi idą za morderstwo w katorgę, lub dla karjery w koleżskie registratory, a koleżskie registratory bez chleba w popy; żydzi, z prostych arendarzów w lat kilka barony i orderowi panowie; Juchancewy kradną miljony i banki i znikają jak kamfora, a tam w Rostowie czy też w Nowoczerkasku, opasły archimandryta (opat.) zabrawszy kasę monasterską, ulatnia się z kupcową; lud głodny w ciągłej nędzy, łuna pożarów ciągle świeci; córki generał lejtenantów,****) obywateli i hrabiów, idą w bose nihilistki, szesnastoletnie dziewczątka palą za niewierność w łeb swoim kochankom; jeszcze bardziej młodziutkie gimnazjalistki trują się zapałkami,

---

*) Naprzykład pani Szpejer, z domu księżniczka Engałyczew, żona «króla waletów czerwiennych.« «Król» pisał przed pół rokiem z Ameryki, gdzie uciekł, do swych przyjaciół, wysoko położonych w m. Moskwie, że chce wrócić do ojczyzny niech się więc postarają u cesarza, ażeby go ułaskawił — i bardzo być może, że stanie się zadość królowi.»

**) Kapitan artylerji Czyżewskij, rodem z gubernji petersburgskiej w Petersburgu, i podporucznik piechoty Malinowskij w Odesie, oba prawosławni i oba niedawniej jak w przeszłej jesieni, pierwszy tak katował żonę i tak nią poniewierał, że się aż otruła z rozpaczy; drugi popełniwszy bigamję, pierwszą swą żonę wyprowadził na cmentarz pod pretekstem spaceru i tam ją zarżnął. Nie są to jedyne wypadki podobnego rodzaju; było ich kikanaście ostatniemi czasy.

***) Naprzykład b. ministra skarbu br. Reutern.

****) Panna Jużakow, w procesie pani Rossikow o skradzenie miljona.

---

bo „imżycie obrzydło," a gimnazjaliści tak samo bo i im także „żyć nudno," a łez wszędzie obfitość — oto w krótkości obraz pobieżny tego co się dziś dzieje w państwie moskiewskiem, resztę niech czytelnikowi dopowie wyobraźnia jego.

Złe i dobre, w każdym znaleźć można kraju, ale nigdzie to pierwsze nie rozwielmożniło się w tak zwiększonych rozmiarach, jak w carstwie nadwołżańskiem. Dodajemy nawet chętnie, że nie jesteśmy zdania, ażeby wszystko tam było zgangrenowane. Są i tam ludzie, lecz stosunkowo, jest ich bardzo niewiele, a do tego skrępowani niewolą nie są wstanie tyle zdziałać dobrego, ileby chcieli. Ponury obraz któryśmy skreślili, nie jest przesadzony. Wiadomo, że carat obecnie jest w stanie przejściowem. Jak z niego wybrnie — nie chcemy się zastanawiać nad tem. Możemy tu dotknąć tylko, jakeśmy powiedzieli z początku, jednej sfery towarzyskiej nad Newą, odgrywającej pewną rolę w wypadku który mamy do opowiedzenia.

Wstrząśnijmy kolejdoskopem a na brudnem tle zbrodni i nieszczęścia błysną jaskrawe punkta arystokracji, która nie jest tak bardzo podobną do arystokracji zachodniej, ja się to nie jednemu wydaje. Ma ona odrębne cechy i różnice. Jedną z nich jest indyferentyzm dla religji, w której się wychowała, połączony z niepokojem i ruchliwością umysłu w rzeczach tyczących się wiary. Gdy arystokracja europejska ma za pewien punkt honoru trwać przy sztandarze przekonań swych przodków, rosyjska z bardzo nieznacznym wyjątkiem gotowa we wszystko nie wierzyć i wierzyć, byle nie w prawosławie.

Wierzy tedy w katolicyzm, skłonna do mistycyzmu, wierzy w anabaptystów i nihilizm — ale co do prawosławia, to chyba tylko dworacy z panią Błudow *) na czele, słuchają jeszcze przykazań synodu. Policja petersburgska zamknęła przed trzema miesiącami kaplicę anabaptystów w pałacu hr. Szuwałowa. Nie umiemy powiedzieć, czy protektor ten i zwolennik anabaptystów jest byłym reprezentantem Rosji na kongresie berlińskim, czy też tylko krewnym, to jednak pewno, że pałac hr. Szuwałowa służył za przytułek dla wzmiankowanej sekty, i kaplica nie stała pustką.

Jest to zresztą łatwo dającem się pojąć zjawiskiem, że w położeniu podobnem do dzisiejszego w Rosji, gdy społeczeństwo w rozkładzie,

---

*) Stara ta pani, czyli raczej panna, której z daleko większą słusznością należy się tytuł o jaki tak gorąco ubiegała się niegdyś królowa Elżbieta z angielskich Tudorów, nie mając do tego najmniejszego prawa — wielce rozumna córka b. ambasadora przy dworze windsorskim a następnie ministra carskiego, o mało nie zginęła w dynamitowych płomieniach podczas ostatniego zamachu na życie Aleksandra II; nie wiele brakowało. Stara ta panna jest najpierwszą przyjaciółką cesarzowej; nie odstępuje jej na krok co dzień się z nią modli pod kierunkiem popa kapelana Bażanowa lub Rożdiestwienskiego, rektora akademji duchownej i ma stały apartament w zamku zimowym. Apartament ten jest o ścianę od kordegardy wysadzonej w powietrze d. 17. lutego. Gdyby nabój był nieco silniejszy, pokoje panny Błudow, wyskoczyłyby w górę. Zarzucić jej można fanatyzm prawosławny. Ona to jest fundatorką bractw prawosławnych na Litwie i Rusi, ona też jest Egerją hr. Tołstoja, ministra oświaty a zarazem nadprokuratora «przenajświętszego» synodu. Przed laty kilkunastu umyślnie nabyła ogromne dobra ostrogskie na Wołyniu od warjata hr. Ilińskiego, ażeby z Ostroga, naśladując po swojemu tradycje słynnego hetmana Konstantego, zrobić tarczę prawosławną przeciw polonizmowi.» Panna Błudow z tem wszystkiem powiada, że jest przyjaciółką Polaków — czego świadkiem ma być margr. Z. Wielopolski, a faktem jest że po Milutinach i Katkowych najsroższe zadała nam ciosy.

jednostki szukają dróg nowych, nowego, że tak powiemy, criterium dla ducha swojego, na którem można byłoby się oprzeć i uspokoić, i wtedy gotowe nieraz oddać się w ręce pierwszego lepszego kuglarza, który do nich przyjdzie w postaci proroka.

To też widzimy tam takie rzeczy naprzykład, że gdy chłop naczytawszy się biblji aż do zawrotu głowy — a lubi bardzo się zaciekać, szczególnie w apocalipsis — słucha z natężeniem jakiegoś bosego Aninfa, który ogłosiwszy się wysłańcem mającego powtórnie przyjść wkrótce Chrystusa, prawi rzeczy niestworzone i każe chłopom „chuchać w okienko, bo tym tylko sposobem modlitwa najpewniej dojdzie do Pana— a przed sądem ostatecznym trzeba się spieszyć“ — to jednocześnie do arystokracji zajeżdża zagraniczny prorok we fraku i białym krawacie, i może być pewnym, że otworzą się przed nim nie jedne podwoje najdumniejszych pałaców.

Szczególnie spirytyzm zapuścił w Rosji głębokie korzenie, i to teraz, gdy gdzie indziej nie mało stracił na znaczeniu. Najbardziej lgną do spirytyzmu próżnujące hrabiny i księżne, stare dewotki i zbankrutowane generałowe, ale nie brak i panów a nawet i uczonych szczerze wierzących w rozmowę z pozaświatowymi duchami. Pewien profesor uniwersyteta, którego nazwiska nie przypominamy dziś sobie, założył był nawet dziennik spirytystyczny, utrzymujący się dotąd podobno i nieraz kruszył kopje w obronie spirytyzmu.

Jednocześnie w Petersburgu żył niejaki Armand Gustawson. Dzienniki twierdzą, że był rodowitym Rosjaninem, pomimo że imię i nazwisko zdają się wskazywać na Finlandczyka lub Szweda. Był to artysta w całem znaczeniu tego wyrazu, z talentem wielkim, zapowiadał wiele. I przed nim rozwarły się podwoje pałaców. Ale jak!... Zobaczymy wkrótce, na teraz dość wiedzieć, że Armand już nie żyje. Umarł w listopadzie roku zeszłego w domu warjatów.

Prasa petersburgska ostatniemi laty bardzo narzekała na obłęd spirytystyczny arystokracji stołecznej. Podawała fakta, wymieniała nazwiska tak szarlatanów jak i „wierzących“ (tych ostatnich początkowemi literami tylko), lecz dzienniki nasze nie zwróciły na to uwagi jak nie zwracają nieraz na daleko ważniejsze objawy życia rosyjskiego — bo „co to nas obchodzi!“ Nawiasem mówiąc, zdawało się nam zawsze i zdaje, że powinno być dla nas stokroć ciekawszem to co się dzieje w Rosji, aniżeli to, co powiedział pan Gladstone na lorda Beaconsfielda. Z Anglją przecież nie mamy rachunków.

Ale wróćmy do rzeczy i posłuchajmy smutnej historji biednego poety — bez charakteru...

Armand był ładnym chłopcem, wysoko wykształconym, bardzo oczytanym, pełnym pomysłów, dowcipu i fantazji, doskonale prezentował się w salonie, a mówił po francusku i pisał jak Francuz rodowity — dość, że posiadał wszystko co się w salonach podoba, a szczególnie prześlicznie rysował. Akwarelle i ołówek były jego specjalnością, w której rzec można, nie miał współzawodnika. Nie dla tego, ażeby kto inny nad Newą nie umiał tak dobrze jak on malować, lecz że szkice i akwarelle jego były pełne myśli i życia, że było w nich zawsze coś tak fantastycznie oryginalnego a pełnego znaczenia, że każdy zobaczywszy robotę jego, pomimowolnie zamyślał się nad nią. Główne utrzymanie Armanda stanowiły właśnie szkice jego i karykatury, na wagę złota rozchwytywane przez znawców lub redakcje pism ilustrowanych. Ale ulubionym jego rodzajem był rodzaj fantastyczny. Armand przy całej swojej wesołości, był *mistykiem*. Krył się z tem jakby z grzechem śmiertelnym, chociaż dotąd mistycyzm w połączeniu z lekkomyślnością nie doprowadził go rzeczywiście do grzechu. Z początku rzucał na papier cudne, pełne natchnienia szkice w rodzaju różnych duchów, gnomów, widzeń proroka Ezechiela i tym podobnych rzeczy, a skończył na tem, że począł sam *widzieć* i przedstawiać widzenia swoje ołówkiem lub farbami, i to go zabiło.

„Krótkie były o nim nekrologji, jak krótkiem było i życie jego, powiada p. Suworyn, właściciel pisma, z którego czerpiemy, a jednak zabrał on do grobu bolesną tajemnicę, o której ani jeden dziennik nie wspomniał, a która oby się stała przestrogą dla innej lekkomyślnej młodzieży. Powiedzianem było tylko, że Armand się rozpił, dostał delirium tremens i oszalał, ale dla czego rozpił się — dowiedzieliśmy się dopiero dziś od pewnej osoby mającej wstęp do salonów szalonej arystokracji naszej.

Rzecz była taka:

Pewien aferzysta, żyjący przemysłem, o jakiego nietrudno w każdem większem mieście, umiejący się wszędzie wśliznąć i wszędzie stać się potrzebnym, człowiek „wielce dystyngowany, „głębszej myśli i poglądów“, a mający tajemne koneksje z pewnym spirytystą, który umyślnie sprowadzony był z Londynu dla dawania seansów, ujrzawszy przypadkiem jedną z prac Doré'go z nad Newy (bo tak krytyka poczyna już zwać Armanda), przez intuicję właściwą tego rodzaju ludziom, odrazu przeczuł, że z młodego artysty może być interes. Dowiedziawszy się, że stan majątkowy Armanda wcale nieszczególny, poznajomił się z nim i następujące rokowania rozpoczął:

Czy nie życzyłby sobie Armand być dwa razy więcej płatnym za swoje rysunki, pod jednym wszakże warunkiem — wcale do spełnienia łatwym, chociaż wprawdzie nieco zagadkowym — ażeby zataiwszy artystyczne wykształcenie swoje, powiedział tym, przed którymi będzie rysował, że „rysuje, nie zdając sobie z tego sprawy, sam nie wiedząc jak i dlaczego“. Żądano przytem także, ażeby rysował nie wcześniej, aż pewne osoby, do których pojadą, poczną się modlić i kłaść na niego dłonie. Za każdy podobny seans, oprócz umówionej ceny za rysunek lub akwarellę, płacić mu będą oddzielnie po rubli kilkadziesiąt, a w końcu zaproszonym będzie na sutą kolację.

Armand był w wiecznej potrzebie; propozycja wydała się mu niemającą w sobie nic złego — owszem, wcale zabawną i oryginalną — pociągnęła go właśnie swoją tajemniczością — i Armand się zgodził. Zaraz mu dano 50 rubli tytułem zadatku. Jakże nie skorzystać z podobnej gratki, gdy nie ma co jeść, a mieszkanie nie zapłacone? Więc pomyślał lekkomyślny młodzieniec i wziął pieniądze.

Na drugi dzień aferzysta, który go upolował, we fraku i białym krawacie, zawiózł go „do pewnego pałacu, pewnej znakomitej rodziny bojarskiej“, gdzie ku wielkiemu jego zdziwieniu powitano go jako »*znakomite medium rysujące*»...

Salon obszerny, wybity ciemną materją; na jednej ze ścian duży krucyfiks katolicki z Chrystusem z białego marmuru na czarno-marmurowym krzyżu, niedaleko od krucyfiksa stolik pokryty makatą, a na nim dwa kandelabry z woskowemi świecami, papier, ołówki, szklanka wody i farby; koło stolika „mistrz“ pełen uroczystej powagi i jakiejś zadumy; cisza, słychać tylko szepty stłumione; mężczyzni, wszyscy we frakach, w milczeniu przesuwają się jak cienie od jednej grupy do drugiej dam wyelegantowanych— oto co zobaczył Armand, wszedłszy do salonu. Byli to goście pani hrabiny X, co przyjechali zobaczyć „nadzwyczajnego młodzieńca, za którego dość zanieść gorące modły, a następnie wyciągnąć dłonie i dotknąć się ramion jego, a zaraz pocznie „widzieć“ duchy zaświatowe, a potem, na żądanie której z obecnych osób, przedstawi ich zapomocą ołówka lub odmaluje wodnemi farbami, pomimo, że nigdy nie uczył się i nie umie rysować.“

Armandowi pozostawało jedno tylko: porwać kapelusz i uciec, lecz zabrakło odwagi zawstydzać tyle osób dostojnych i zdemaskować entreprenera swojego, a zresztą wziął 50 rubli i naturalnie, już ani grosza z nich nie miał.

A zresztą zaczęli już i modlić się nad nim i dłonie wyciągać. Zapoźno! — i maszyna poczęła pracować.

Pierwsze posiedzenie udało się doskonale Armand w przeciągu jednej godziny naszkicował prześliczny wizerunek gospodarza domu w „pierwotnem jego wcieleniu“, czyli mówiąc językiem powszednim, wizerunek protoplasty jego. Wizerunek przedstawiał tatarskiego *baskaka**) z djabelskiemi skrzydłami i z dziwnym wyrazem twarzy, w którym wszyscy znaleźli „coś tak familijnego, ale to coś tak familijnego!“...

„Armand, pisze p. Suworyn dalej, prędko zasłynął jako *medium* cudowne. Reputacja rosła szybko, ale też i życie jego odrazu rzuconem zostało na obrzydliwą drogę poniżającego oszustwa. Z drugiej jednak strony widział się zupełnie zabezpieczonym pod względem materjalnym; mógł się spodziewać, że uzbierawszy grosza, będzie mógł uciec i zupełnie się poświęcić ulubionej sztuce. Dawano mu co potrzebował, lecz jednocześnie skradziono mu *imię* jego. Zarekomendowano go w salonach nie jako Armanda Gustawson, ale jako Mr. Armand *tout court*, jako Francuza po raz pierwszy przybyłego do Rosji.“

„Ani się obejrzał, jak został oszustem. Oszust-antreprener miał go już dobrze w ręku, i ceremonji z nim już żadnych nie robił. Otwarcie wykładał plany dalszego oczyszczania kieszeni *de la sotte aristocratie moscovitte*. Armand się męczył, ale wciąż malował „wizerunki pierwotnych wcieleń“ Pewne indywiduum, które najbardziej starało się utopić Armanda w mgle medjumizmu, posiada całe teki rysunków i akwarel jego, przedstawiających niektórych nawet *mężów stanu* w ich "pierwotnem wcieleniu“, i należy wyznać, że są to nietylko przecudne utwory artysty pełnego talentu i fantazji, ale też jednocześnie należą do najlepszych Satyr na mężów tych w ich „dzisiejszem wcieleniu“ (uszy nieco zadługie, wyraz twarzy bezmyślny i t. d.). Z du-

---

*) Baskak, wyższy urzędnik tatarski wysyłany podczas gdy Moskwa była pod jarzmem mongolskiem, przez chanów do w. książąt moskiewskich dla odbierania haraczu. Wiadomo, że dużo rodzin bojarskich pochodzi od Tatarów.

chami niewiast obchodził się łaskawiej. Wszystkie w „pierwotnych swych wcieleniach“ były albo carewnami melancholijnemi*, albo pięknemi smutnemi mniszkami za kratą, cudnemi niewolnicami, rusałkami pełnemi uroku i t. p. — lecz o ile był pełen kurtoazji dla płci nadobnej, o tyle sobie wynagradzał na męzkich postaciach. Nieznoszący niewoli swobodny duch artysty zaarendowanego w szarlatańską niewolę, mścił się okropnie, gdy miał do czynienia z mężczyzną. Dawał wtedy folgę złośliwości niepospolitej i nieraz „pierwotne wcielenie“ panów arystokratów-spirytystów, odtwarzał w postaci gorszej od „świni w jarmułce“, a cała sociètè tymczasem nie mogła się nadziwić nad „familijnemi rysami“. Bolesny sarkazm znoszono w pokorze, bo jakże go nie znieść od *medium* działającego bezwiednie? Muluje przecież to tylko, co mu się objawi ze świata pozagrobowego, więc czyż temu winien? Znoszono tedy w pokorze — ale on sam nie zniósł upokorzenia, w jakie popadł dzięki swej lekkomyślności. Męczył się, aż dokąd się nie zamęczył“.

Nieraz się zrywał ze złotej obroży i podawnemu poczynał pracować dla rozmaitych wydawnictw, lecz stracił już był wytrwałość, stał się nieakuratnym — płacono mu daleko mniej — a zresztą i „tamci“ wciąż go łapali! „Tam“ modlono się za niego, choćby się Bóg wie jak ukrył zawsze go odszukano „za pomocą adresów dawanych przez medium *piszące*“. A że mediumy umiały go zawsze odszukać, w tem nic dziwnego, bo bez Armanda seanse wiele na wartości traciły. Ile więc razy probował schować się, jak to mówią choćby pod ziemię, tyle razy „mistrz“ z „dystyngowanym panem“ potrafili odnaleść go i na nowo wprządz w jarzmo haniebne.

I drżał Armand jak liść osikowy na samą myśl, że mogą się dowiedzieć koledzy, znajomi, literaci, artyści, w których kółku przebywał, i że sromotny rodzaj zarobku stanie się głośnym światu całemu. Myśl ta przejmowała go śmiertelną trwogą. Krył się z tajemnicą swoją jak najdalej, począł unikać ludzi, zaszywał się w jak najdalsze zakątki miasta, stał się ponurym, począł pić nareszcie... Aż nakoniec i sami antreprenerzy dali mu pokój — porzucili pijaka...

Popadł w nędzę i już tylko po najbrudniejszych szynkach się tułał, Daremnie! wódka nie zabiła pamięci, wstyd palił czoło i Armand zwarjował...

Nikomu się nie zwierzył ze swej tajemnicy. Wydał ją panu Suworynowi pewien pan możny, jeden z częstych gości salonu arystokratycznych spirytystów, z ulicy Bolszaja Milionnaja.

Uczęszczał on tam przez ciekawość, i z maniery poznał, że mr. Armand, Francuz, był nikt jnny jak znany wszystkim z imienia petersburski Armand Gustawson.

— Dlaczego hrabia nie starałeś się wyrwać go ztamtąd? Widziałeś przecież, że młodzieniec przepada! — pytał p. Suworyn.

— Ciekawy byłem na czem to wszystko się skończy, nie chciałem przeszkadzać — odparł zimno hrabia, zbierając do teki rozrzucone prace Armanda i lekkiem skinieniem głowy pożegnał interlokutora.

(*) Wiadomo, że aż do Piotra, córki carów moskiewskich skazywane były na wieczne panieństwo, z wyjątkiem jednej Heleny królowej polskiej, żony Aleksandra I., a córki Iwana III., zrodzonej z cesarzewiczowej greckiej Paleolog.

ZE ŚWIATA.

(Interwencja poczty. „Patrjotyzm i Kosmopolityzm“ pani E. Orzeszkowej. Przekonania i wierzenia autora. Pobudka do myślenia. Słowa autora. Natura polemiczna. Zewnętrzna wydawnictwa strona. „Słownik geograficzny“ w porównaniu. Opinja geografów i statystów. Poparcie. O dwóch nowościach wydawniczych polskich. Nowości francuskie. „Essai de Mecanique chimique“ p. Berthelot. Kierunek pracy. „Histoire de la Divination dans l'Antiquité“ Plan dzieła p. A. Bouché-Leclercq. Młode wierzenia. Cudowność. Cywilizacja starożytna. Nauka nowa a dawniejsza.)

Zamierzyłem rozpisać się o księciu Bismarku, biorąc assumpt z „Puncha“, który tego męża stanu przedstawił pod postacią Marlborough'a *qui s'en va-t-en guerre*. Anglicy miewają koncepta trafne. Koncept ów posłużyć mi miał za punkt wyjścia do skreślenia podobizny wielkiego kanclerza ze strony temperamentu bojowniczego, stanowiącego fundum istoty jego moralnej. Ułożyłem był sobie wszystko jak należy, i pisanie, jak myślę, wyszłoby było cale nieźle, gdyby nie poczta warszawska, która mi szyki pomięszała i księcia Bismarka z głowy wytrąciła. Tak — wytrąciła go z głowy: znalazła się względem niego zgoła niegrzecznie. Stało się jednak. Kanclerz cesarstwa niemieckiego usuniętym został, dzięki poczcie, z pierwszego planu; niech poczeka; rozpiszę się o nim poźniej — okazja nadarzy się jeszcze, chociaż nie taka może podatna, jak ta, którą nasunęła karykatura „Puncha“.

W jakiż sposób, w razie tym, zainterwenjowała poczta? W sposób nader prosty. W momencie, kiedym do pisania się zabierał, dostawiła mi pierwszą książkę „Wydawnictwa E. Orzeszkowej i Sp.“, zawierającą w sobie rzecz pod tytułem: „Patrjotyzm i Kosmopolityzm“.

Niech pozdrowioną będzie książka ta! Należy ona do rodzaju tych, które z horyzontu piśmienniczego nie znikają, nakształt ogników błędnych. Przeczytałem ją, odsuwając pisanie na stronę, tchem jednym i mam jej pełno w sobie: tak w głowie, w której przed chwilą gościł książę kanclerz, jakoteż w sercu, do którego osobistość księcia kanclerza wstępu nie miała. Zajęła mnie ona bardzo żywo, ze względu na treść przedewszystkiem, opanowaną przez autora w zupełności i obrobioną, o ile racjonalnie, o tyle kunsztownie. Nie krytykuję pracy tej; opisuję tylko — opisuję książkę, powołaną do sprawienia wrażenia na masie publiczności czytającej. Krytyka nie przemilczy o niej — tego pewny jestem; rozpatrzy ją i zanalizuje szczegółowo, jak ona na to zasługuje. W opisie dotknę jeno właściwości parę, które wydają mi się wydatniejszemi.

„Patrjotyzm i Kosmopolityzm“ przedstawia się, jako system przekonań i wierzeń autora, a przedstawia się tak, że po przeczytaniu książki z ust czytelnika wydzierają się mimowolnie wyrazy: „Piękne serce! piękna dusza!“ Autor umiał wytłumaczyć się z przekonań i wierzeń swoich, nie w imieniu jednak własnem tylko, ale oraz w imieniu ogółu, czującego, lecz nie zawsze z uczuć sprawę sobie zdawać umiejącego. Pani Orzeszko występuje w charakterze rzecznika szerokiego ogółu; bierze na siebie zadanie wytłumaczenia uczucia i wywiązuje się z onego, ku wielkiemu czytelnika zadowoleniu. Kto inny inaczejby może zadanie to rozwiązał: wziąłby, naprzykład, patrjotyzm, jak się bierze religijność, jako fakt pozytywny i racji takowego szukałby w zwojach mózgowych, w komórkach zarodowych, we właściwościach duszy ludzkiej, związanych ściśle z właściwościami fizjologicznemi, cechującemi człowieka; lecz ów „kto inny“ nie wywiązałby się z zadania lepiej i musiałby w końcu powiedzieć to, co powiedziała autorka o przedmiocie, dotykającym tak zbliska i tak bezpośrednio człowieka pojedynczego i człowieka zbiorowego.

Druga właściwość pracy tej polega na tem, że pobudza ona do rozmyślania nad każdym niemal ustępem. Widzę niejako czytelników, noszących się z książką i zaczepiających jeden drugiego:

— A uważałeś?... Przeczytajno to!.. Jakżeż to ona napisała!...

Powstają ztąd dyskusje i spory, interesu żywotnego pełne. Widzę — powtarzam — czytelników, noszących się z pracą pani Orzeszko i słyszę dyskusje ich. Książka, co takie wywołuje widzenia, posiada tem samem wartość wielką, przywiązaną do treści. Owóż w treści „Patrjotyzm i Kosmopolityzm“ nadających się do rozmyślania ustępów znajduje się bez liku. Chciałbym zaznaczyć który — wybór trudny. Zaznaczam wszakże jeden, stronica 160 i następne. Odnosi się on do sposobu nauczania historji, błędnego w stopniu wysokim. Albo... Ale — nie. Przytoczyć wolę słowa autora, któremi zamyka rzecz o Patrjotyzmie i Kosmopolityzmie, o przyczynach powstawania, o częściach składowych i przeciwieństwach jednego i drugiego.

„Oto wszystko, cośmy powiedzieć mogli o zagadnieniu arcy ważnem i gorączkowo zajmującem liczne umysły. Ofiarując pracę tę ludziom, rządzonym przyczynami antipatrjotyzmu, i o nich w czasie wykonania jej myśląc, uczuwaliśmy może żal i trwogę, lecz nie maczaliśmy pióra w nienawiści i wzgardzie. Nie chcieliśmy gromić ani złorzeczyć; pragnęliśmy jeno wyjaśnić i przekonać. Myśleliśmy też, iż przyczyny, sprowadzające zjawiska wszelkie, krzyżowane i modyfikowane być mogą przez przeciwne im oddziaływania i wpływy. W wytwarzaniu zaś oddziaływań tych i wpływów myśl czyjaś, jakkolwiek skromna, lecz wypowiedziana szczerze i na pewnych podstawach oparta, spełnić może czynność jednej z tych kropel, których tysiące zmieniają kształty głazów, lub jednego z tych uderzeń światła, których ilość nieprzeliczona sprowadza przemiany w mollekularnym układzie kryształu.“

Do opisu książki potrzebnem mi się wydało przytoczenie słów powyższych. Pokazują one, że praca pani Orzeszko jest z poczęcia i z zamiaru swego natury nie tyle dydaktycznej, co polemicznej, wyzywającej do kontrowersji i przez to samo żywo interesującej. Mnie — zainteresowała ona ogromnie; że zaś nie uważam siebie za osobistość wyjątkową, pewny więc jestem, że wrażenie podobne wywrze i na ogół czytelników.

Wypada jeszcze rzec słówko o wydawnictwie samem ze strony onego formalnej, zewnętrznej. I to bowiem ma znaczenie swoje. Pierwsza ta serji pierwszej książka przedstawia się bardzo ponętnie. Format podręczny, druk wyraźny, papier dobry, omyłek drukarskich bardzo mało — nie można żądać niczego więcej. Powtarzam na zakończenie: niech pozdrowioną będzie!

Takież samo pozdrowienie należy się „Słownikowi geograficznemu“, którego zeszyt pierwszy doszedł rąk moich. Porównywałem go z trzema słownikami geograficznemi: z „Dictionnaire géographique universel“, z „Dictionnaire géeographique-statistique de la Suisse“ i z „Dictionnaire géographique du canton de Vaud“, jakoteż z „Diction-

naire géographique, statistique et historique du canton de Vaud“ i śmiało powiedzieć można: nie ustępuje im, a nawet przewyższa je pod względem informacji, jakie w nim znaleźć można, a które, gdy praca ta ukończoną zostanie, wykażą się w całej ważności swojej, odnoszącej się tak dobrze do człowieka nauki, jakoteż do handlarza, przemysłowca, gospodarza rolnego, słowem, do każdego, zamieszkałego na ziemiach, objętych programem, jaki sobie redakcja zakreśliła. Pokazywałem też zeszyt ten ludziom kompetentnym, geografom i statystom. Każdy bezwarunkowo pożyteczność pracy tej uznaje; do osądzenia onej atoli, do zawyrokowania o wartości jej, pod względem wykonania, zachodzi trudność podwójna: na przód językowa — język polski *c'est du grec* dla uczonych zachodnich; Elizeusz Reclus zamierza uczyć się po polsku, zanim jednak zamiar swój do skutku doprowadzi, dużo jeszcze zapewne wody upłynie, a tymczasem z widzenia samego wartości pracy oceniać nie może. Druga trudność polega na tem, że to dopiero zeszyt pierwszy, a w nim dykcjonarza właściwego jest niespełna arkuszy cztery, obejmujących literę, która w nomenklaturze geograficznej polskiej i w ogóle słowiańskiej, odegrywa rolę najpodrzędniejszą. Jeden z panów tych zażądał, ażebym przetłumaczył mu „Augustów“ i, gdym to uczynił, znalazł opis onego geograficznie dokładnym; zapytywał jednak o fabryki i o cyfry, wyrażające obrót handlowy. Każdy zaleca podawanie w jak największej ilości jaknajświeższych faktów i danych statystycznych; każdy pracę pochwala i nie wątpi, że ze strony publiczności znajdzie ona poparcie dostateczne. I ja o tem nie wątpię. Jakaż praca bardziej na poparcie zasługuje, jeżeli nie taka? Pożyteczność tego rodzaju podręcznika wyraźna jest i widoczna, w dzisiejszych zwłaszcza czasach, w których ułatwienie komunikacji mnoży stosunki i łączy interesy. Co moment niemal wypada potrzeba dowiadywania się o miejscowości jakiejś i pobierania informacji na drodze podań ustnych, zwykle niepewnych, a często bałamutnych.

Okrom dwóch tych prac — „Patrjotyzm i Kosmopolityzm“ pani E. Orzeszkowej i „Słownik geograficzny“ pp. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego i W. Walewskiego — z nowości wydawniczych polskich nic więcej nie mam pod ręką. Trafiło się tak, że o obydwóch nowościach tych, opisując je, mówić nie można inaczej, tylko w sposób pochwalny. Na początek, to dobry prognostyk. Obyż jeno poszło tak dalej od dobrego do coraz lepszego! Nie o ilość chodzi, ale o jakość. Niech się nie ukazuje książek dużo, ale niech się ukazują takie, które niosą piśmiennictwu pożytek i chlubę. Praca jedna i praca druga odpowiadają warunkowi temu. Jedna służy za dowód, iż nie pozbyliśmy się jeszcze zdolności produkowania prac umysłowych oryginalnych, wchodzących w zakres myślenia poważnego; druga składa świadectwo pracowitości benedyktyńskiej, do której nie poczuwaliśmy się sami.

Złożywszy hołd należny swoim, zwrócę się do obcych.

Na polu piśmiennictwa francuskiego pojawiło się w czasach ostatnich rzeczy kilka zasługujących na wzmiankę. Zacznę od najpoważniejszych a mianowicie od Mechaniki chemicznej („Essai de Mécanique Chimique, fondée sur la Thermochimie“), napisanej przez członka instytutu prof. w Collége de France, pana Berthelot. *Essai* znaczy po polsku: próba, zarys. Zarys ów obejmuje dwa grube tomy, o treści których mówi tytuł. Tom pierwszy traktuje o kalorimetrji, tom drugi poświęconym jest mechanice chemicznej. Praca ta jest owocem poszukiwań i doświadczeń długich, które w r. 1864 przybrały kierunek wyraźny. W roku pomienionym p. B. stanął już w obec świata naukowego z dwoma dziełami: Chemia organiczna oparta na syntezie“ (Chimie organique fondée sur la synthése) i „Synteza chemiczna“ (Synthése chimique). Od roku 1864 zajmować się począł specjalnie thermochemją i dopiął tego, że owoce badań swoich ujął w całokształt naukowy, kojarzący do pewnego stopnia dwie pokrewne, lecz oddzielnie dotychczas trzymające się nauki: chemję i fizykę. Węzeł do skojarzenia znalazł w ciepliku — na nim też system swój opiera. Pan Berthelot należy do tego rodzaju uczonych, którzy czyniąc postrzeżenia i doświadczenia, nie spuszczają z uwagi reguł ogólnych i poszukują takowych. Nie wiem, jak „Zarys“ jego przyjętym zostanie i czy się w ogóle przyjmie — jest to rzecz krytyki naukowej; jeżeliby jednakże przyjął się, to zakrój onego tak jest obszernym, iżby „zarys“ ów objął świat cały. Nie będę wchodził w szczegóły. Zaznaczam jeno usiłowanie w kierunku kojarzenia nauk, przejawiającym się w różnych gałęziach naukowych. Sprawozdawcy naukowi rozpatrzą się w pracy pana Berthelot bliżej i zaznajomją z nią czytelników dokładniej.

Drugiem dziełem poważnem, które mnie zafrapowało, jest „historja wróżbiarstwa w starożytności“ (Histoire de la Divination dans l'Antiquité) przez pana A. Bouché-Leclercq, profesora na wydziale literackim w Montpellier. Praca ta znajduje się w styczności bezpośredniej z historją cywilizacji i napisaną jest na podstawie studjów głębokich, dla których autor przewertować musiał prace autorów starożytnych i nowoczesnych greckich, rzymskich, niemieckich, holenderskich, włoskich, francuskich. Świadczy o tem długi wypis bibljograficzny, poprzedzający tom pierwszy. Tomów ma być cztery — wyszły dwa; dwa następne ukazać się mają w czasie niedługim. Pan A. B. L. nie wychodzi ze świata starożytnego, nie opuszcza Greków i Rzymian. W tomie pierwszym mówi o wieszczbiarstwie helleńskiem w ogóle, o metodach: indukcyjnej i intuicyjnej; w trzech następnych — o kapłaństwach wieszczbiarskich, indywidualnych i kolektywnych.

Przedmiot, który wybrał sobie p. A. B. Leclercq, zajmował umysły oddawna; zajmował je jednak, jako fakt występny, posadzony na ławie oskarżonych w obliczu historji, zapatrującej się nań bądź przez okulary teologji, bądź też przez szkło sceptycyzmu. W pierwszym razie na ławie zasiadał szatan, w drugim — szarlatan. Pan A. B. L. z tego wychodzi punktu, że w wieszczbiarstwie starożytnem nie zachodziła interwencja ani szatanizmu, jak chce teologja tradycjonalna, ani szarlatanizmu, jak wykazuje Van Dale, ale że był to wytwór naturalny i logiczny młodych wierzeń religijnych. „Prawda to dziś już pospolita — powiada — że wytwory poczucia religijnego mają, jak wszelakie rzeczy, młodość swoją, energji i uroków pełną, wiek, w którym szczerą jest przyjmująca je wiara. Wierzenia, jakiemiby one nie były, wydają się niedorzecznemi wówczas dopiero, gdy się od nich opinia odwraca.“ Miały więc one w starożytności swoją rację bytu i plebs, co je uznawał, czynił to w całej ducha szczerości, jak z drugiej strony, wieszczkowie i wieszczki, kapłani i personal cały, pełniący funkcję sztabu przy mysterjach, przejęci byli głęboko ważnością swego zadania — wróżyli z zupełną dobrą wiarą — czynili nawet cuda, w tłumaczenie których nauka nie wdaje się obecnie. „Nie potrzeba — słowa autora — wypędzać cudowności z dziedziny rozumu, dla tego, że jest ona negacją porządku racjonalnego i że interwencja onej uczyniłaby świat niepojętym; lecz nie potrzeba niemniej ścigać onej w zakresie uczucia. Tam znajduje się ona u siebie i żartować może z wysiłków potęgi, której nie uznaje.“ Przystępuje przeto do rzeczy z całem uszanowaniem, na jakie zasługują dzieła, w które ludy włożyły część duszy własnej. Religje starożytne były czcze w sobie; bez wróżbiarstwa byłyby się bardzo rychło rozluźniły; wróżbiarstwo stanowiło konieczną dla onych zaprawę. U Greków nazywało się ono *mantyk*, u łacinników — *divinatio*.

W pracy p. A. B. L. schodzą się na gruncie spólnym: filozofia, historja i archeologja i służą do wykazania, że wieszczbiarstwo narzucało się niejako myślicielom, dziełem których jest cywilizacja starożytna, będąca matką cywilizacji naszej: cywilizacja owa (starożytna) tego była rodzaju, że dotykając najgorętszych problematów metafizycznych „zniewalała poetów do filozofowania, filozofów zaś do utrzymywania się, w wielu względach we wspólnictwie idei z teologją poetyczną.“ Wynika ztąd, że zasady, na których opiera się ona, jako też następstwa, do których prowadzi, nie są to niedorzeczności, zasługujące na to jeno, ażeby je zbywać uśmiechem szyderskim. Są to preludja wierzeń, wyobrażeń i przekonań dzisiejszych, zasługujące jako takie na badanie szczegółowe i poważne.

To też dzieło p. t. „Histoire de la Divination dans l'Antiquité“ zaleca się powagą w traktowaniu przedmiotu, którym zajmowano się bądź dodatkowo, bądź też z powziętem z góry uprzedzeniem. Odczytując je, przychodzą mimowolnie na myśl prace uczonych nowożytnych, oddających się badaniu natury. Nie ma dla nich drobiazgu, którymby pogardzali. Rzecz najpośledniejsza, szczegół najmizerniejszy, kamyczek, pyłek uwagę ich zwraca na siebie — biorą go pod mikroskopy, studjują, rozczyniają, rozbierają, zaznaczają. Dawniej tego nie bywało. Nauka dawniejsza wielką była panią w porównaniu z dzisiejszą; na naturę przez ramię protekcjonalnie spoglądała i w górę patrzała. Dzisiejsza pozbyła się buty poprzedniczki swojej: do ziemi się schyla, z pod nóg przedmioty zbiera i wdaje się z uszanowaniem jednakowem ze wszystkiem, w tem przeświadczeniu, że w dziedzinie wiedzy panuje równość absolutna, odnosząca się jednakowo tak do człowieka, przedstawiającego doskonałość najwyższą w szeregu istot kręgowych, jak do pomrównicy *(amhioxus,)* obdarzonej samym jeno zarodkiem szkieletowym, pod postacią mleczą pacierzowego. W przeświadczeniu tem o równości pomiędzy przedmiotami wiedzy, przystąpił pan A. Bouché-Leclercq do studjowania wieszczbiarstwa w starożytności, które rozpatruje i bada pomrównicę z ciekawością, z zamiłowaniem, a bez uprzedzenia. Wątpić nie można, że praca jego przyniesie nauce pożytek niemały. Dwa początkowe tomy dają we względzie tym rękojmię

pewną, rzucając światło na praktyki wieszczbiarskie, wykazując pochodzenie ich i istotę, grupując je wedle rodzajów i wyznaczając im miejsce odpowiednie w szeregu objawów cywilizacji starożytnej. Pewnym niemal tego być można, że gdy praca ta do końca dojdzie i do rąk uczonych, studjujących dzieje starożytne się dostanie, zdziwienie ich będzie niemałe z powodu, iż bez takowej dotychczas obchodzić się mogli. Nie idzie wszakże za tem, ażeby „Historja wieszczbiarstwa w starożytności" miała być doskonałością skończoną. Tego nie twierdzę i za takową jej nie podaję. Twierdzę jeno, że — o ile wiem — jest to w rodzaju swoim studjum pierwsze, poczęte i dokonane w mysli ściśle naukowej, wolnej od tendencyjnego nałamywania przedmiotu do wyobrażeń z góry powziętych. Historyk nie sądzi, nie wyrokuje — szatana nie wynajduje, o szarlatanizm nie oskarża — studjuje.

T. T. Jeż.

STARUSZEK Z NICEI.

Pewien wydawca we Francji zapowiada dwie nowe książki Alfonsa Karra. Smakosze literaccy nie posiadają się z radości przy tem obwieszczeniu. Jeżeli jakikolwiek Francuz,— powiada J. Stern — to z pewnością Karr może być zestawiony z niemieckim niedawno zmarłym Kürnbergerem: obaj gotowi są mówić „nie", tam gdzie inni „tak" mówią, obaj już z natury oryginalni, oryginalność swą jeszcze sztucznie starają się podnieść, obaj strzelają z armat do wróbli i używają pięści tam, gdzie szczutek by wystarczył. Kürnberger umarł nie wyrzekłszy ostatniego słowa, Karr wydaje nowe dzieła w siedmdziesiątym drugim roku życia (urodził się r. 1808), a zważywszy że francuscy literaci w ogólności bardzo długo żyją, możemy spodziewać się, że jeszcze dość długo będzie on literaturę zbogacał.

Karr zbiera w Nicei, w której stale mieszka, róże i myśli, a lubo te ostatnie kolą częstokroć jak kaktusy, mają jednak woń pierwszych. Jest on namiętnym ogrodnikiem i niemniej chlubi się gatunkiem „daklia Karr", jak swemi pismami. Człowiek ten wiele roślin wychował i wiele napisał, a czytając dzieła jego, doznajemy niekiedy wrażenia, jak gdybyśmy zbierali kwiaty. Zdawałoby się, że zajmując się tak namiętnie kwiatami, Karr powinien protegować kobiety. Tak przecież nie jest. Przeciwnie, zasługuje on na klątwę płci pięknej, gdyż zwykle źle ją przedstawiał, i jeżeli statystyka wykazuje, że związki małżeńskie coraz rzadziej zawierają się we Francji, to Alfons Karr nie jest ostatnią zjawiska tego przyczyną. Każda jego książka opowiada paniom stworzenia najnieprzyjemniejsze rzeczy. Zwłaszcza w trzech utworach zajmuje się on kobietami: w „Les femmes", „Encore les femmes" i „Une poiguée de verités".

Wiadomo, że myśl pisania o kobietach nie jest nową; wielu mężczyzn zajmowało się tą gałęzią literatury. Bywają jednak epoki, w których tak zwana zagadka natury kobiecej staje się najważniejszą. Później spostrzegamy, że świat jeszcze ważniejsze posiada zagadki i nie szukamy rozwiązania tam, gdzie ich wcale nie ma. Karr nie przemawia do kobiet w taki sposób, jak to czyni Dumas, który nazywa kobietę „X charmant et terrible". On wypowiada prawdę temu X, samą tylko prawdę „une poignée de vérités". W jednej z wspomnianych trzech książek zauważa on, że gdy mężczyzni źle mówią o kobietach, wyglądają wówczas jakby lokaje źle mówiący w przedpokoju o panach, którym wierzchnią odzież zdejmują, i bojący się jednocześnie, aby ich nie wypędzono. Stary rzeźbiarz inaczej tę samę myśl wyraził: przedstawia on Wenerę w chwili, gdy ta stawia nogę na hełmie.

Karr bardzo dobrze rozumie, że walczy naprożno. Nie bierze on wiatraków za olbrzymy i czuje że tak jak don Kiszot próżno lancą wywija. To go irytuje. Nie może on znieść, że w naszem społeczeństwie kobieta jest ozdobą,— mężczyzną zaś niemem zwierzęciem. Często zajmuje się on tym przedmiotem. W jednem miejscu naprzykład powiada: „Pani Maeré, jak wiele pań paryskich należy do innej klasy społeczeństwa, niż jej małżonek". Gdzieindziej zaś mówi: „Obecnie już liść figowy z przyczyny mody posiada przynajmniej czternaście metrów, a jednak wciąż mówi Ewa do Adama: „luby, daj mi ten liść figowy". I Adam, ażeby to uczynić, nie sypia po nocach, pracuje, kradnie i zabija."

Nie bardzo też zachęca Karr młodzież do zawierania związków małżeńskich. Powiada naprzykład: „Małżeństwo jest największym zbytkiem, jakiego człowiek może się dopuścić". Albo: „Dla ludzi tej klasy społeczeństwa (średniej) żona nie jest prawdziwą towarzyszką, podzielającą jego pracę i troski, ale cackiem, które w przeciągu całego życia trzeba upiększać, ażeby inni je podziwiali. Człowiek tej klasy, zaślubiający dziewczynę bez posagu, zdolny jest kupić konia, który zamiast siana, żywi się topazami i szmaragdami". Karr w słowach pełnych przykrej dla płci pięknej ironji, radzi jej nie czytać romansów. „Powieściopisarz — powiada on do czytelniczki — mógłby panią przekonać, że powinna pani wymagać od ukochanego prawości, odwagi, wspaniałomyślności, bezstronności. Proszę zważyć, co panią czeka. Mogłabyś pani pokochać biedaka, który pani nigdy nie da takiego stanowiska, o jakie inne kobiety się ubiegają, mogłabyś pani pokochać człowieka talentu i rozumu, ubogiego wielkiego artystę, biednego walecznego oficera, prawego i poświęcającego się polityka, zdolnego, ale sumiennego adwokata! Mogłoby to panią przyprawić o spokojne, familijne życie, o miłość dla męża i dzieci! A fe, moja panno." W równie rubaszny sposób poskramia staruszek z Nicei pychę kobiet, prosząc, żeby nie zapominały, że możebny jest i takiego rodzaju przypadek: Młodzieniec zachwyca się pięknością dziewicy, a gdy ta mówi:

— Dobrze, bierz pan te złote włosy, te ząbki perłowe, oczęta turkusowe, ten uśmiech czarujący etc. zabierz pan to sobie na zawsze.

Młodzieniec mógłby jej odpowiedzieć:

— Chwilkę cierpliwości, droga pani! A ile pieniędzy da mi twój ojciec, jeżeli te wszystkie piękności zabiorę?

Niezaprzeczoną prawdę wygłasza Karr, gdy mówi o wzajemnych stosunkach kobiet, o ciągłych między niemi wojnach. Oto kilka przykładów:

„Przyjaźń pomiędzy dwiema kobietami zawsze jest spiskiem przeciwko trzeciej".

"Nawet w kościele każda kobieta pod pozorem modlitwy, patrzy tylko, czy inne się modlą".

„Pewna kobieta przyznała, że nic nie ma nudniejszego nad komplement do innej skierowany".

„Mąż, o którym kobieta myśli, że go innej nie wydarła, wiele traci w jej oczach".

„Gdy kobieta mówi o innej: wcale przystojna osoba,— znaczy to z pewnością, że tamta jest zeszpecona ospą; gdy mówi o innej: dobra kobieta,— przysiądz można, że ta o której mowa jest ze wszechmiar wstrętną".

Najwdzięczniejsze dla ironji Karra pole przedstawiają moda i prawa etykiety. W tej mierze nie potrzebuje on nawet przesadzać, lecz tylko prawdę kreślić. Opisuje on profesora jadącego z żoną na bal. Po balu spostrzega uczony ze zdziwieniem, że na drugi bal żona już nie może włożyć nic z ubrania, które miała na pierwszym. Są tu prawa i postanowienia, które ściślej bywają zachowywane, niż te, na których spoczywa pokój państw i wolność narodów. Nie waha się też Karr powiedzieć: „Im mniej jest odziana, tem bardziej ubrana". Cały świat — według niego tak się różuje, że chcąc wyrazić uczucie wstydu, kobieta musi zrobić się fioletową". „Niepodobna przekonać kobiety, że mogłaby ona mieć zbyt wielkie oczy, za małe usta i nogi, że figura jej może być nazbyt cienką. Gdyby mogła się przekształcić, chodziłaby na szczudłach, karmiłaby się przez słomkę, a oczy jej zbiegałyby się na tyle głowy. Niektóre tak powiększyłyby sobie lewe oko, że na prawe zbrakłoby miejsca na twarzy". Strzeżcie się,— mówi dalej Karr — co rok używać tylko jednego kapelusza, sprawiać suknię dopiero, gdy się dawniejszą zużyje, ubierać się skromnie". Ażeby dowieść, że pierwszy sen Adama, był jego ostatnim odpoczynkiem, ułożył Karr nawet wiersze, niezbyt wprawdzie udatne. Gdy posłał je w młodości do redakcji *Figara,* otrzymał prośbę, ażeby lepiej artykuł wyraził prozą. Oto są wiersze:

A son réveil d'Eden le premier hote,
A ses cotés, en place de sa cote,
Vit «la chair de sa chair et les os de ses os,
Et son premier sommeil fut son dernier repos».

Karr jednak, jak sam powiada, nie jest nieprzyjacielem płci pięknej. „Czyż można — zapytuje z najniewinniejszą miną — utrzymywać, że ktoś nie lubi wina, dla tego, że wszystkich środków używa, ażeby nic ze swego koloru i smaku nie straciło". Karr lubi objaśniać niektóre wyrażenia ze specjalnego słownika pań. „Wyglądać jak wszyscy, znaczy tyle i również pięknych posiadać sukien, kapeluszy oraz innych strojów, jak ta znajoma, która ich ma najwięcej". „Jeżeli — jak powiada Karr — kobieta jest ptakiem w złotych klatkach", to można go uważać za nowego Salomona, który zbadał język ptaków.

Karr nie wierzy w wieczną miłość. Opisuje on baraninę, mówiącą do człowieka jedzącego: „Przyrzeknij że zawsze będziesz mnie jadł z jednakowym apetytem". „Przyrzeknij — powiada tenże — że nie będziesz miała kości i zawsze będziesz mi smakowała".

Ostrzegamy więc czytelniczki, ażeby nowych książek Karra nie czytały.

F. Gr.

Z Heinego.

Świat i życie — to dwie szmaty —
Wynoszonej starej szaty.

Pójdę znaleźć Niemca — który
Wyliczeniem wiedzy bystrem,
Ujmie w całość wszystkie dziury,
I wysnuje mądry system.

On szlafrokiem i piernatem
Zesztukuje życie z światem.

* * *

Chciałbym wszystkie me boleści,
W jeden wyraz zawrzeć wzniosły,
I na lotne rzucić wiatry —
By wraz lotnie go unicsły!

Przez najdalsze lądy, morza —
On by doszedł aż ku tobie —
Brzmiący wszędzie, w każdem miejscu,
Brzmiący ciągle, w każdej dobie.

Ledwie sen by twą źrenicę,
Zwarł znużoną tłumem wrażeń —
Onby wdarł się w głębię serca —
Wpełzł gadziną w głąb twych marzeń.

* * *

Masz złoto, perły, djamenty —
Wszelki dostatek dziewczęcy.
Masz w oczach skarbów ponęty —
Czegóż potrzeba ci więcej?

Za przedmiot pieśni mej w rymie,
Ciebiem z stu wybrał tysięcy.
Pieśń ma uwieczni twe imię —
Czegóż potrzeba ci więcej?

Oczu pociskiem — męczeństwa
Zadajesz piersi chłopięcej —
Śmiejesz się z jego szaleństwa —
Czegóż potrzeba ci więcej?

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Dokończenie)

ROZDZIAŁ XVIII.

Jądro pestki.

Ostatni stopień drabinki dotykał posadzki sali obszernej i okrągłej, nie mającej żadnego wyjścia. Sala ta byłaby pogrążona w najzupełniejszej ciemności, gdyby olśniewające światło białawe nie przedzierało się przez szybę okrągłego okna, wprawionego na środku dębowej posadzki. Okno to przypominało zupełnie tarczę księżyca, w chwili kiedy ten ukazuje się na niebie w całym swym czystym, pogodnym majestacie.

Cisza zupełna panowała między murami głuchymi i ślepymi, które nie mogły ani widzieć ani słyszeć. Dwom młodym ludziom zdawało się, że znajdują się w przysionku grobowego pomnika.

Marceli zawahał się chwilkę, zanim się pochylił nad błyszczącą szybą. Dosięgał celu! Nie wątpił, że ztamtąd wyjdzie owa nieprzenikniona tajemnica, po którą przyszedł do Stahlstadtu!

Ale wahanie się to trwało jednę chwilę. Oktawjusz i on uklękli przy szybie tak, by mogli objąć okiem wszystkie części pokoju, znajdującego się pod nimi.

Widok niespodziany a straszny uderzył ich oczy.

Szklanna szyba, wypukła po obu stronach, w kształcie soczewki, ogromnie powiększała przedmioty, na które patrzano z po za niej.

Tam było tajemne laboratorjum Herr Schultze'a. Silne światło, które przedzierało się przez szybę, jak gdyby przez dioptryczny przyrząd latarni morskiej, pochodziło z podwójnej lampy elektrycznej, palącej się jeszcze pod dzwonem opróżnionym z powietrza; potężny stos Wolty nie przestał dotąd zasilać strumieniem swoim płomienia tego. Na środku pokoju, przy olśniewającem świetle widać było nieruchomie jak marmur siedzącą ludzką postać, którą łamanie się soczewki powiększało do rozmiarów olbrzymich — był to niby sfinks na libijskiej pustyni.

Odłamy granatu zaścielały podłogę do koła widma tego.

Nie było wątpliwości! Był to Herr Schultze, którego łatwo było poznać po ogromnej szczęce, po błyszczących zębach; Herr Schultze olbrzymi, zabity jedną z tych strasznych maszyn, która wybuchając, zadusiła go a jednocześnie zmroziła strasznym chłodem.

Stalowy król siedział przed stołem, trzymał pióro olbrzymie, wielkie jak lanca, i zdawał się pisać jeszcze! Gdyby nie osłupiałe spojrzenie rozszerzonych źrenic i nieruchomość ust, możnaby sądzić, że żyje. Jak te mamuty, znajdywane w lodach północnych stref, trup ten od miesiąca tu był ukryty przed wzrokiem ludzkim. Wszystko do koła niego było zmarzłe jeszcze, odczynniki zawarte w słojach, woda w odbieralnikach, rtęć w kubku!

Marceli pomimo całej okropności widoku tego, nie mógł powstrzymać się od uczucia zadowolenia, że patrzał na to z zewnętrznej strony laboratorjum, bo z pewnością tak on jak Oktawjusz zginęliby, gdyby byli dostali się do wnętrza jego.

Jakim sposobem nastąpił ten straszny wypadek? Marceli domyślił się tego łatwo, kiedy przypatrzywszy się szczątkom granata, rozrzuconym na podłodze, przekonał się, że były to kawałeczki szkła. Otóż, owe zabójcze pociski Herr Schultze'a naładowane płynnym dwutlenkiem węgla, miały, z powodu strasznego ciśnienia, jakie na nie gaz wywierał, wewnętrzną powłokę z owego szkła hartowanego, które o dziesięć lub dwanaście razy mocniejszem jest od zwykłego szkła; wyrób ten, nowy jeszcze zupełnie wówczas, ma jedną wadę: wskutek tajemniczego działania drobinkowego, pęka nagle, czasami bez widocznej przyczyny. I to właśnie musiało tutaj nastąpić. Może nawet wewnętrzne ciśnienie samo wywołało pęknięcie granatu który był przyniesiony do laboratorjum. Dwutlenek węgla, nagle uwolniony z więzów ściskających go, zamienił się w stan lotny i tem samem wywołał straszne obniżenie otaczającej temperatury.

Bądź co bądź skutek musiał być piorunujący. Herr Schultze, zaskoczony śmiercią w takiej postawie, w jakiej znajdował się w chwili wybuchu, działaniem mrozu, mającego sto stopni poniżej zera, zesztywniał natychmiast.

Jedna okoliczność szczególną uwagę Marcelego zwróciła: Stalowy król ugodzony został w chwili, kiedy pisał.

Co on pisał na tym papierze, tem piórem, które trzymał jeszcze w ręku? Ciekawem byłoby poznać ostatnią myśl, ostatnie słowo takiego człowieka.

Ale jakim sposobem dostać ten papier? Niepodobna było myśleć o stłuczeniu tej świecącej tarczy i o zejściu do laboratorjum. Dwutlenek węgla nagromadzony pod strasznem ciśnieniem, wydostałby się na zewnątrz i udusiłby wszelką istotę żywą, którą owionąłby śmiertelny wyziew jego. Byłoby to narazić się na śmierć niechybną; niebezpieczeństwo nie odpowiadało widocznie korzyściom, jakie dałyby się osiągnąć z papieru tego.

Jednakże, chociaż niepodobna było odebrać trupowi Herr Schultze'a tych ostatnich linji, jakie skreśliła ręka jego, możebnem jednak zdawało się przeczytać je przy powiększeniu, jakie sprowadzało łamanie się soczewki. Potężne promienie jej skupiały się na wszystkich przedmiotach zawartych w laboratorjum, które silnie oświecała podwójna lampa elektryczna.

Marceli znał pismo Herr Schultze'a, i po chwilowem usiłowaniu udało mu się przeczytać następujące dziesięć linji.

Jak wszystko, co pisał Herr Schultze, był to raczej rozkaz niż instrukcja.

„Rozkaz do B. K. R. Z. przyspieszyć o dwa tygodnie wyprawę przygotowaną na Francję-Miasto. Natychmiast po otrzymaniu rozkazu tego, poczynić wskazane przezemnie kroki. Trzeba, żeby tym razem doświadczenie było zupełne i piorunujące. Nie zmienić ani na jotę tego, co postanowiłem. Chcę, żeby za dwa tygodnie Francja-Miasto było martwem miastem, i żeby żaden z jej mieszkańców nie pozostał przy życiu. Trzeba mi nowoczesnej Pompei; niech to będzie zarazem postrachem i zdziwieniem dla świata całego. Nastąpi to nieochybnie, jeżeli rozkazy moje dokładnie będą spełnione.

„Przyszlesz mi trupy doktora Sarrasin'a i Marcelego Bruckmann'a. Chcę je widzieć i mieć je.

„Schultz...“

Podpis niedokończony był, i brakowało mu zwykłego cyfrowego znaku.

Marceli i Oktawjusz niemi i nieruchomi stali w obec tego dziwnego widoku, jak gdyby wywołanego siłą złośliwego genjuszu; rzeczywistość, którą mieli przed sobą zdawała się należeć do świata fantazji.

Trzeba było nakoniec porzucić tę scenę ponurą. Dwaj przyjaciele bardzo wzruszeni opuścili salę, położoną nad laboratorjum.

Tam, w tym grobie, gdzie najzupełniejsza ciemność zapanuje, jak tylko lampa zgaśnie dla braku strumienia elektrycznego, trup stalowego króla pozostanie sam, wysuszony jak jedna z tych mumii Faraonów, które po dwudziestu wiekach nie rozsypały się jeszcze w proch!..

W godzinę potem Marceli i Oktawjusz, rozwiązawszy Sigimira, który nie wiedział co począć z odzyskaną wolnością, opuścili Stahlstadt i udali się z powrotem do Francji-Miasta, gdzie tegoż wieczora stanęli.

Doktor Sarrasin pracował w swoim gabi-

necie, kiedy dano mu znać o powrocie młodych ludzi

— Niech wejdą — zawołał — niech wejdą prędko!

Pierwsze jego słowo, wyrzeczone do nich, było:

— No, i cóż?

— Doktorze — odpowiedział Marceli — wiadomości jakie przynosimy ze Stalhstadt'u uspokoją cię zupełnie, uspokoją na długo. Nie ma już Herr Schultze'a! Herr Schultze, nie żyje!

— Nie żyje! — zawołał doktor Sarrasin.

Poczciwy doktor zamyślił się na chwilę i milcząc stał przed Marcelim.

— Moje biedne dziecko — rzekł wreszcie uspokoiwszy się — czy uwierzysz temu, że ta wiadomość, która powinnaby była pocieszyć mnie, bo oddala od nas to, czego nienawidzę najbardziej, wojnę, i to wojnę najniesprawiedliwszą, wojnę bez żadnego powodu! czy uwierzysz temu, że wiadomość ta ścisnęła mi serce! Ach! dlaczego ten człowiek, tak potężnych zdolności, stał się nieprzyjacielem naszym? Dlaczego rzadkich umysłowych przymiotów swoich nie poświęcił na usługi cnoty? Ileż straconych sił, które stałyby się użytecznemi, gdyby można było połączyć je z naszemi siłami i dać im wspólny cel! Oto co mi przyszło na myśl, kiedyś mi powiedział: „Herr Schultze nie żyje!“ Ale teraz, przyjacielu, opowiedz mi, co wiesz o tym niespodzianym zgonie.

— Herr Schultze — odpowiedział Marceli — znalazł śmierć w tajemniczem swem laboratorjum, do którego przystęp uczynił niemożebnym za życia swego. Nikt oprócz niego jednego nie wiedział o istnieniu tego laboratorjum, a zatem nikt nie mógłby dostać się do niego, nawet gdyby chodziło o danie mu pomocy. Padł zatem ofiarą tego niesłychanego scentralizowania wszystkich sił, które ujął był w dłonie, na które nierozważnie rachował, chcąc być jedyną sprężyną całego dzieła swego; w chwili wyznaczonej przez Boga, centralizacja ta obróciła się przeciw niemu samemu i przeciw jego dziełu!

— Nie mogło być inaczej! — odpowiedział doktor Sarrasin. — Herr Schultze opierał się na zasadzie całkiem błędnej. W istocie, czyż nie najlepszym rządem jest ten, którego naczelnika, w razie śmierci, najłatwiej można zastąpić innym, i który nie zawiesza czynności swoich, właśnie dlatego, że w maszynerji jego nie ma nic tajemniczego.

— Zobaczysz zaraz, doktorze — odpowiedział Marceli — że to co się stało w Stahlstadzie, dowodzi, *ipse facto*, tego coś teraz powiedział. Zastałem Herr Schultze'a siedzącego przed biórkiem, owym punktem centralnym, z którego wychodziły wszystkie rozkazy; miasto Stalowe spełniało je, nie ważąc się nigdy roztrząsać żadnego z nich. Śmierć pozostawiła mu postawę i wszystkie pozory życia do takiego stopnia, że na chwilę zdawało mi się, że widmo to przemówi do mnie!... Ale wynalazca stał się męczennikiem wynalazku, swego! Jeden z tych granatów, co to miały zniszczyć miasto nasze, zabił go samego! Broń jego pękła mu w ręku, w chwili, kiedy kreślił ostatni list, dający rozkaz zagłady! Posłuchaj!

Tu Marceli przeczytał na głos owe straszne słowa, skreślone ręką Herr Schultze'a, a które on przepisał był.

Potem dodał:

— Gdybym nawet chciał wątpić o śmierci Herr Schultze'a, toby mi najlepiej tego dowiodła ta okoliczność, że wszystko koło niego żyć przestało! Wszystko przestało żyć w Stahlstadzie! Jak w pałacu zaczarowanej księżniczki sen skleił wszystkie powieki, zawiesił życie i ruch! Paraliż pana za jednym ciosem sparaliżował sługi i rozciągnął się do narzędzi!

— Tak — rzekł doktor Sarrasin — widać w tem sprawiedliwość bożą! Chcąc się rzucić na nas bez żadnego umiarkowania, nadto nacisnął sprężynę i sam padł!

— Tak jest, doktorze; ale teraz nie myślmy już o przeszłości, a zajmijmy się teraźniejszością. Herr Schultze umarł, dla nas to pokój, ale jednocześnie jest to ruina dla tego wspaniałego zakładu, który on utworzył, tymczasowo zaś jest to bankructwo. Nieprzezorność kolosalna, jak wszystko co Stalowy król robił, dziesięć przepaści gotowała pod krokami jego. Zaślepiony z jednej strony powodzeniem, z drugiej nienawiścią swą przeciw Francji i tobie, doktorze, nie ubezpieczywszy się dostatecznie, robił olbrzymie dostawy uzbrojenia wszystkim tym, którzy byli nam nieprzyjaźni. Pomimo to, i chociażby wypłata większej części tych wierzytelności nie prędko nastąpiła, sądzę, że silna dłoń może postawić na nogi Stahlstadt i obrócić ku dobremu siły, które nagromadzono w niem na złe. Herr Schultze jednego tylko może mieć spadkobiercę, a tym spadkobiercą jesteś ty. Nie powinieneś dać zginąć dziełu jego. W świecie tym nadto rozpowszechniła się wiara, że ze zniweczenia współzawodniczącej siły odnosi się bezwarunkową korzyść. Jest to wielki błąd, i zgodzisz się ze mną, jak sądzę, że z wielkiej ruiny tej trzeba uratować wszystko, co może posłużyć dla dobra ludzkości.

— Marceli ma słuszność — odpowiedział Oktawjusz — ściskając rękę przyjaciela — gotów jestem służyć pod jego rozkazami, jeżeli ojciec pozwoli na to.

— Macie słuszność, moje dzieci — odrzekł doktor Sarrasin. — Tak, Marceli, nie zabraknie nam kapitałów, i dzięki tobie, znajdziemy w odnarodzonym Stahlstadzie taki arsenał narzędzi, że nikomu odtąd nie przyjdzie na myśl zaczepiać nas! A że mając w ręku największą siłę, będziemy zarazem starali się o największą sprawiedliwość, wszystko zatem, co nas otacza, musi pokochać dobrodziejstwa pokoju i sprawiedliwości. Ach! Marceli, ile pięknych marzeń! I kiedy pomyślę, że przez ciebie i z tobą będę mógł jakąś część ich dokonać, zapytuję siebie, dlaczego... tak! dlaczego nie mam dwóch synów!... dlaczego nie jesteś bratem Oktawjusza!... Zdaje mi się, że nie byłoby nic niepodobnego dla nas trzech!...

ROZDZIAŁ XIX.

Sprawa familijna.

W ciągu tego opowiadania może za mało mówiliśmy o osobistych sprawach bohaterów naszych. Wolno nam zatem przypomnieć o tem i pomyśleć o nich dla nich samych.

Trzeba wiedzieć, że dobry doktor nie tak wyłącznie należał do istoty zbiorowej, do ludzkości, ażeby wszelka osobistość miała zniknąć dla niego, nawet wtenczas, kiedy unosił się w świat ideałów. To też uderzyła go nagła bladość, jaką okryła się twarz Marcelego przy tych ostatnich słowach. Wzrok jego starał się odkryć w oczach młodzieńca tajemną przyczynę wzruszenia tego. Stary doktor milczeniem badał milczenie młodego inżyniera i czekał może, ażeby ten ostatni przerwał je; ale Marceli wysiłkiem woli rychło zapanował nad sobą i odzyskał krew zimną. Na twarz jego wrócił zwykły rumieniec, postawa zaś zdawała się wyczekiwać dalszego ciągu rozmowy.

Doktor Sarrasin, trochę zniecierpliwiony może tem szybkiem zapanowaniem nad sobą młodego człowieka, zbliżył się do niego; potem, poufałym ruchem, zwykłym w zawodzie doktora, wziął jego rękę i zatrzymał w swojej, jak gdyby rękę chorego, którego puls chciał zbadać delikatnie lub może przez roztargnienie tylko.

Marceli, nie zdając sobie sprawy z zamiarów doktora, powolnie dał się trzymać za rękę i nie mówił ani słowa.

— Mój Marceli — rzekł mu stary przyjaciel jego — wrócimy później do naszej rozmowy o przyszłych losach Stahlstadtu Ale wolno jest, pracując nad polepszeniem losu wszystkich ludzi, zająć się także losem tych, których kochamy, tych, którzy obchodzą nas bliżej. Otóż, zdaje mi się, że nadeszła chwila, kiedy mogę pomówić z tobą o pewnej młodej dziewczynie, której imię zaraz ci wymienię, a którą po raz dwudziesty może od roku proszono o rękę. Propozycje te pochodziły po większej części od takich ludzi, że najwybredniejszy gust nawet mógłby zadowolić się niemi, a jednak młoda dziewczyna odpowiadała rodzicom swoim nie i zawsze nie!

W tej chwili Marceli nagłym ruchem uwolnił rękę swą z dłoni doktora.

Ten, czy to dlatego, że dostatecznie już zrozumiał stan pacjenta swego, czy nie zauważał, że młody człowiek odebrał mu i dłoń swą i zaufanie, mówił dalej, nie zdając się zwracać uwagi na ten wypadek.

— Ależ, mówiła matka młodej tej osoby, powiedz nam, jaka jest przyczyna tej wciąż powtarzającej się odmowy. Wychowanie, majątek, zaszczytne stanowisko, powierzchowność przyjemna, wszystko zdaje się odpowiadać potrzebnym warunkom! Dlaczego odpowiadasz zawsze: nie, i to tak stanowczo, tak szybko, nie dając sobie nawet czasu do namysłu? Zwykle nie jesteś tak stanowcza!

Na to łajanie matki, dziewczyna przemówiła nakoniec, a że ma umysł jasny i charakter prawy, przełamawszy zatem milczenie, tak rzekła:

— Odpowiadam „nie“ z takąż samą szczerością, z jaką odpowiedziałabym „tak“, gdyby serce moje wyrzekło to słowo. Zgadzam się z tobą, matko, że z partji tych nie jedna mogłaby być odpowiednią dla mnie; ale raz, że wyobrażam sobie, iż wszystkie te starania nie do mnie właściwie, ale do najbogatszej w mieście panny na wydaniu odnoszą się, i że myśl ta nie bardzo mię zachęca do powiedzenia tak, ośmielę się jeszcze dodać, ponieważ żądasz tego, że żadna z tych propozycji nie jest tą, której czekałam, tą, której czekam, a do tego dodać muszę, że na nieszczęście, ta, której czekam, może jeszcze długo na siebie czekać każe, a któż wie nawet czy przyjdzie kiedy!

— Jakto! — rzekła matka w osłupieniu, — ty...

Nie dokończyła słów swoich, bo nie wiedziała, jak je zakończyć i w ciężkiem zmartwie-

niu swojem zwróciła ku mężowi wzrok, błagający o pomoc i ratunek.

Ale ten, czy dla tego, że nie chciał mięszać się do tej sprawy, czy że sądził, iż lepiej będzie, jeśli matka z córką porozumieją się najprzód, dość że udał, iż nie rozumie o co chodzi, i biedne dziecko zarumienione ze wstydu i zakłopotania, a może nawet trochę z gniewu, nagle postanowiło dojść do końca

— Powiedziałam ci, kochana matko — odrzekła — że ta, której czekam, prośba o moją rękę może nie prędko przyjdzie, a nawet może być, że nie przyjdzie wcale. Dodam do tego, że to opóźnienie się, chociażby nawet miało być nieokreślone czasem, nie może mię ani dziwić, ani urażać. Jestem na nieszczęście bardzo bogatą, jak powiadają; ten, którego czekam, jest bardzo biedny, i dla tego milczy i ma słuszność. Jego rzeczą jest czekać...

— A dla czego nie naszą jest zbliżyć się — rzekła matka, chcąc może zatrzymać na ustach córki wyrazy, których bała się usłyszeć.

— Wtenczas to mąż wmięszał się.

— Moja przyjaciółko — rzekł, biorąc czule obie ręce swej żony, nie napróżno matka tak posłusznej jak twoja córki wystawia przed nią, od urodzenia jej niemal, pięknego i dzielnego chłopca, który należy prawie do rodziny naszej; nie napróżno mówi ona całemu światu o zacności charakteru jego i przyklaskuje mężowi swemu, kiedy ten z kolei wychwala przy sposobności jego niezwykłą inteligencją, kiedy z rozrzewnieniem mówi o tysiącznych dowodach poświęcenia się, jakie miał od niego! Jeżeliby widując i znając tego młodzieńca, którego matka jej i ojciec wyróżniali z pomiędzy wszystkich, ona także nie wyróżniła go, to powiedziałbym że nie spełnia obowiązków swoich!

— Ah! ojcze! — zawołało dziewczę, ukrywając zmięszaną twarzyczkę na ramieniu matki, jeżeli odgadłeś mię, to na coś mię zmusił do mówienia!

— Na co? — odrzekł ojciec — na to, moja pieszczotko, by mieć przyjemność słyszenia cię, by być pewniejszym, że się nie mylę, by nakoniec módz powiedzieć tobie w swojem i w matki twej imieniu, że wybór serca twego zatwierdzamy z największą radością, i że chcąc oszczędzić drażliwą delikatność ubogiego a dumnego młodzieńca, o którym mowa, ja mu zrobię tę propozycję — tak! ja sam, bo wyczytałem w jego sercu, tak jak w twojem! Bądź zatem spokojna! Przy pierwszej dobrej sposobności, pozwolę sobie zapytać Marcelego, czy nie podobałoby mu się zostać moim zięciem?...

Niespodzianie zaskoczony tem nagłem przemówieniem, Marceli wyprostował się i stanął, jak gdyby pod naciskiem sprężyny. Oktawjusz ścisnął go za rękę, w chwili kiedy doktor Sarrasin wyciągnął do niego ramiona. Młody Alzatczyk blady był jak śmierć. Ale czyż nie tak wyglądają silni ludzie, kiedy do ich serca szczęście niespodzianie wstąpi!...

ROZDZIAŁ XX.

Zakończenie.

Francja-Miasto, wolne od wszelkiego niepokoju, żyjące w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami, dobrze administrowane, szczęśliwe, dzięki rozsądkowi mieszkańców swoich, kwitnie pomyślnością. Szczęście jego, sprawiedliwie zasłużone, nie budzi zazdrości, a siła poskramia najkłótliwszych nawet.

Stalowe miasto było tylko straszną fabryką, groźną maszyną zniszczenia w żelaznem ręku Herr Schultze'a; dzięki Marcelemu Bruckmann'owi, likwidacja jego odbyła się bez niczyjej krzywdy, i Stahlstadt stało się punktem środkowym doskonałej produkcji wszystkiego, co potrzebne do użytecznego przemysłu.

Marceli jest od roku najszczęśliwszym małżonkiem Joanny; urodzenie dziecka powiększyło jeszcze to szczęście.

Co do Oktawjusza, ten stanął pod rozkazami szwagra i ze wszystkich sił swoich dopomaga mu we wszystkiem. Siostra jego zamierza właśnie ożenić go z jedną ze swych przyjaciółek, śliczną dziewczyną, której przymioty charakteru i zdrowy rozsądek powstrzymają go od nowych upadków.

Życzenia doktora i jego żony spełniły się zatem, i możnaby powiedzieć, że stanęli oni u szczytu szczęścia i sławy — gdyby sława najmniejszą grała kiedy rolę w ich zacnych dążeniach.

Można zatem już teraz zapewnić, że przyszłość należy do usiłowań doktora Sarrasin'a i Marcelego Bruckmann'a, i że przykład Francji-Miasta i Stahlstadt'u, wzorowego miasta i wzorowej fabryki, nie zginie dla przyszłych pokoleń.

KONIEC.

KRONIKA TYGODNIOWA.

POGADANKA NIELITERACKA.

Jeżeli powiem z góry, że jedyną pożyteczną autorką, jaką znam, jest pani Ćwierczakiewiczowa, to powiem tylko pół prawdy — znam bowiem jeszcze także Klementynę z Tańskich Hofmanowę I nie ubliża to wcale sławie i zasługom innych autorek — świadczy tylko o mojem wielkiem nieuctwie, albo o braku wytrawnego sądu z mojej strony. Proszę wszakże uważać, że piszę tylko nie-literacką pogadankę, a na to może się porwać i taki upośledzieniec albo upośledziennik przyrody, który nie wytrzymał nigdy całego arkusza śp. Pauliny Wilkońskiej, i który każdego czasu woli napić się filiżankę senesu z centurią, niż wysłuchać czterdziestu rymów pewnej natchnionej *wieszczyni.*

„Każdy tak robi, jak *módz*“ — powiada jeden z ojców, nie kościoła ale miasta — Wny pan Onufry z Bajek.

Otóż, jeżeli może kto z politowaniem ruszy ramionami nad tem wszystkiem, co tu wygłaszam, to przecież nie zechce zaprzeczyć, że p. Ćwierczakiewiczowa *jest* bardzo pożyteczną autorką.

Piszę w wigilię najgastronomiczniejszego święta, jakie mamy w Polsce, i liczę nietylko na pobłażanie, ale na współczucie szanownej publiczności. W iluż to wypadkach jutro spotkamy się z szynką przesoloną a łykowatą, z kiełbasą Bóg wie jakiego fabrykatu, z prosięciem niedopieczonem, z babą i z mazurkiem, które trzeba koniecznie chwalić, a których przełknąć nie można! I czy niejeden z nas nie westchnie w skrytości serca: Cztery *wieszczynie* za jedną Ćwierczakiewiczowę!?

Upada, upada niestety jedna z chlub naszych narodowych — jemy coraz gorzej, a płacimy za to coraz drożej, i kucharki kradną nas coraz srożej! Być może, że tam jeszcze na Litwie wiedzą, co jedzą, być może, że w Warszawie znajdzie się owa rzadkość większa od jagiellońskiego dukata — dawna gospodyni polska! Nas tu w Galicji trują niemieckie rozbratle i szmary. Germanizacja dotarła aż do rondlów i do patelni. Są domy, w których, zamiast uczciwych klusek dają cieniutki makaran z kwaśnym dzieżkowym serem. Są domy, w których pojawienie się rożna byłoby dziwolągiem takim, jak katapulta rzymska na placu Jabłonowskich w dzień urodzin N. Pana. Są domy.... ale odwróćmy oblicza i podniebienia nasze od tej zgrozy nieznanych prababkom naszym glazur, smalców, i buteryny! Boleśnem jest, jeżeli gdzie mówią po francusku, ale niemal boleśniejszem, jeżeli jedzą nawet nie po ludzku!

I nie widzę na to innego leku, jak tylko w nieliterackiej przynajmniej pogadance, oddanie czci pani Ćwierczakiewiczowej. O, święć nam się na wielkanoc, i na dzień powszedni, poczciwa babo polska! Pierwszy mój i ostatni toast jutrzejszy, Tobie poświęcam!

* * *

W Anglji zaprowadzono od kilku lat publiczne wykłady sztuki kucharskiej dla pań i panien. Miałożby i u nas do tego przyjść, że dziewczyna niczego w domu się nauczy? Widzę już wypadki, że panny tyle tylko umieją z religji, ile słyszały od ks. katechety — a nie ubliżając mu, najlepszym przecie katechetą bywa matka.

Wkrótce usłyszymy, że Heurteux w Krakowie wykłada teorję kotletów, i że ze Lwowa wybiera się deputacja, ażeby go zaprosić na odczyty gościnne. Podniebienia bowiem i żołądki do pewnego stopnia tylko dadzą się uciemiężać i tyranizować. Musi nastąpić reakcja. Musimy mieć na stole półmiski mniej elegancko podane a lepiej przyprawione!

* * *

Zrobiono w ostatnich latach niemało dla szkół żeńskich ale w pewnym kierunku zrobiono za wiele. Być może, że matkom, które zajmują się udoskonaleniem telefonów, albo wykreślaniem zrównań wyższego rzędu, albo badaniem kwestji socjalnej w jej przejawach u pierwotnych ludów aryjskiego szczepu — albo wreszcie matkom, które gorżko na chleb codzienny pracują, dogodnym jest istniejący podział godzin szkolnych. W ogóle atoli w średnich klasach daje się czuć niekorzyść z powodu, że dziewczęta za długo siedzą w szkole. Przed ósmą muszą wychodzić z domu, aby się nie spóźnić, o pół do pierwszej wracają — o pół do trzeciej znowu do szkoły, do pół do szóstej — potem potrzeba jeszcze napisać ze dwa zadania i nauczyć się lekcyj na jutro. Przytem dziecko potrzebuje zjeść i wyspać się, potrzebuje być umytem, uczesanem, oporządzonem, potrzebuje nakoniec pobawić się lalką, zaglądnąć jak mama krząta się około gospodarstwa, bo maszyny do paplania paradigmatów i suchych reguł nikt przecież z niego robić nie chce.

Prawda, że tych sześć godzin w szkole rzadko kiedy upływa na nauce. Niema dnia, żeby która z nauczycielek nie była słabą — co zresztą jest zupełnie naturalnem, gdzie ich jest
*

pięć lub sześć, i gdzie każda obciążona jest pracą. Wówczas albo ją zastępuje druga, nie obznajomiona z przedmiotem, i panienki chichocą po cichu, że je uczy tego, co już od kilku lat umieją — albo godzina upływa na gwarzeniu i na zabawie. Tymczasem, każdyby wolał ażeby jego dzieci gwarzyły i bawiły się w domu.

Dla tego też, dajcie nam *takiego* Lienbachera, któryby sprawił, ażeby dziewczęta korzystając ze szkół publicznych, przecież więcej czasu mogły przepędzać z matką.

* * *

Mówię to w interesie kuchni polskiej, dla dobra przyszłych pokoleń. Ba, gdyby nieoceniona Ćwierczakiewiczowa była nauczycielką w każdej szkole żeńskiej! Ale z książki nikt się nie nauczy gotować, ani też np. prasować bieliznę, ani też nareszcie mieć za co trzymać kucharza i pokojówkę, dla wyręczenia się nimi.

Jeżeli tak będzie dalej, jak jest, *genus* zwane gospodynią wyginie do szczętu. A potem, niechajby sobie już i socjaliści świat porwali — nikt na nim i bez tego nie wytrzyma!

Jan Lam.

* * *

Po koncercie, który pod względem materjalnym nie bardzo się powiódł, a pod względem artystycznym okazał, że pani Runina-Sokołowa ma wprawdzie niezłą szkołę, ale głos dosyć słaby, a co się tyczy obszerności skali, zupełnie zwyczajny, wystąpiła ta śpiewaczka w miejsce niedysponowanej pani Dowiakowskiej w partji Walentyny. Mając już pewne doświadczenie zdobyte na koncercie, szliśmy na „Hugenotów“ z pewnem niedowierzaniem, które zaraz pierwszą sceną zostało stwierdzone. Walentyna należy do najbardziej forsownych partji dramatycznych. Trzeba posiadać ogromną siłę głosu i wytrwałość, aby jej podołać. Pani Sokołowa nie mogła dotrwać z panem Cieślewskim do końca, w słynnej scenie aktu IV. nie była wstanie wyrazić wszystkich tych namiętności, jakie wstrząsają sercem Walentyny, i okazała, że do partji tej nie dorosła tem więcej, że jej akcja monotonna i uboga, nie pozwala jej na występy sceniczne. Spodziewamy się, że *po raz wtóry* „próby“ takiej nie zechce zrobić ani śpiewaczka, ani — dyrekcja.

* * *

W zeszłym tygodniu zmarł, jak nam doniesiono, w Paryżu *Albert Sowiński*, jeden z najbardziej zasłużonych muzyków naszych licząc 75 lat wieku. Śp. Albert urodził się we wsi Łukaszówce na Podolu w 1805 r. Od dzieciństwa okazywał on wielkie zdolności muzykalne. Natura obdarzyła go nadzwyczajną pamięcią muzykalną, którą zachował do późnej starości. To spowodowało brata jego starszego Jana, iż wyprawił go na dalszą naukę w muzyce, której początki otrzymał w domu, za granicę. Śp. Albert bawił czas długi w tym celu we Włoszech a następnie w Wiedniu, gdzie uczęszczał na naukę do szkoły Czernego, od którego nabył wielkiej wprawy w grze na fortepianie. W roku 1823 osiadł stale w Paryżu i wydał zbiór wdzięcznych „Pieśni narodowych polskich“, tudzież pieśni religijnych, które wielką miały wziętość. Przez ciąg swego pracowitego żywota napisał również wiele lżejszych utworów na fortepian. W koncertach wiele razy brał udział, a jakim świetnym był wykonawcą, najlepszym dowodem, że występował razem z takimi wirtuozami jak Liszt i Thalberg. W swoim czasie koncerta jego miały ogromne powodzenie, a Sowiński cieszył się powszechną wziętością w kołach najwyższej arystokracji, bawiącej w Paryżu, a doczekał się uznania wielu głów ukoronowanych jak królowej Wiktorji, Karola X, Ludwika Filipa i Leopolda, króla Belgijskiego. Z estrady koncertowej cofnął się dość wcześnie, aby zostawić po sobie sławę znakomitego wirtuoza. Później wziął się do kompozycji wiekowych, napisał kilka mszy i oratorjów, z których najpiękniejszem ma być „Ofiara Abrahama“ tudzież „Święty Wojciech“. Bardzo wielkie również powodzenie miała jego uwertura do „Mazepy“. W kraju, dzięki niechęci, jaką kierownicy naszych konserwatorjów (!) mają do kompozytorów swojskich, utwory Sowińskiego mało są znane; oprócz kilku drobniejszych rzeczy na fortepian, mieliśmy sposobność słyszeć jego muzykę do „Złotych godów“ Krystyna Ostrowshiego, które przedstawione były za dyrekcji Miłaszewskiego w rocznicę 300 letnią Unji lubelskiej we Lwowie. Utwór ten dowodzi, że Sowiński na obczyźnie nie zatracił poczucia polskiej muzyki, wartość artystyczną tej kompozycji ocenili znawcy bardzo wysoko.

Sowiński jednak nie tylko praktyczne dla muzyki położył zasługi, znajdzie on w literaturze również miejsce jako pisarz. Jego życiorysu Bethowena nie znamy wprawdzie, ale słyszeliśmy o nim bardzo pochlebne zdania specjalistów; nie dawno wydane dziełko jego „Musiciana“ zawiera wiele cennych wskazówek i materjałów, którym brak tylko literackiego obrobienia, najwięcej jednak wartości ma jego słownik muzyków polskich, który początkowo wydany w języku francuzkim nosił tytuł „Dictionnaire des musiciens polonais et slaves“, którego wydanie polskie wyszło w r. 1874 p. t. „Słownik muzyków polskich dawnych i nowoczesnych, kompozytorów, wirtuozów, spiewaków, instrumencistów, lutnistów, organmistrzów, poetów lirycznych i miłośników muzycznych, zawierający krótki rys historji muzyki w Polsce, opisanie obrazów cudownych (!) i dawnych instrumentów z muzyką i portretem autora.

Sam ten tytuł dziwaczny dowodzi, że Sowiński brał bez krytycznego zmysłu materjały gdzie i jak je spotkał i z tego powodu dzieło to jego tu i ówdzie z ostrą spotkało się krytyką. Co do nas, mielibyśmy przeciwnie ochotę o niem wiele dobrego powiedzieć. W „Słowniku“ jest zapewne wiele dziwactw i niedokładności, ale jako materjał (czemże innem ma być słownik tego rodzaju?) zebrany zdala od kraju, gdzie źródła nie są dostępne tak łatwo, odznacza się on i bogactwem szczegółów i wielką sumiennością w ich zebraniu. Dziełu temu może brakować planu, ale są w niem rzeczy cenne, które późniejszym badaczom dziejów muzyki u nas wielce się przydadzą. Spis dawnych instrumentów, używanych w Polsce jest dokładny i nadzwyczaj interesujący. Zdałoby się, aby ktoś z zajmujących się historją muzyki wydał obecnie krytycznie poprawiony „Słownik“ Sowińskiego, który stać się może w tym stanie dziełkiem nadzwyczaj pożytecznem.

Ale zanadto rozpisaliśmy się o „Słowniku“. Nad świeżą mogiłą jego autora należało przecież rzucić tych kilka słów obrony przeciw krytykom niesprawiedliwym. My chętnie cześć niesiemy jego popiołom, i tych kilka kwiatków wspomnienia rzucamy na grób z tem większą ochotą, że nasz sędziwy artysta-muzyk pomimo osiedlenia się na obczyźnie, szczerze był przywiązany do kraju, a często dzielił się ze wszystkiem co posiadał z braćmi swymi na emigracji, a jak nam donoszą, zapisał nawet w testamencie część swego majątku na zakłady narodowe polskie. Cześć zasłużonemu artyście-patrjocie!

* * *

Ciekawa choć smutna sprawa toczy się w sądach karnych tutejszych; ciekawa, bo dotyczy tak zwanej własności literackiej, co do której najznakomitsi europejscy pisarze i prawodawcy są różnego zdania, smutna, bo pokazuje jak prywata umie przybierać postać ofiary.

Ponieważ sprawa ta dotyka w znacznej części interesów ogółu, więc przedstawiamy ją cokolwiek obszerniej.

Wiadomo, że w r. 1878 p. Adam Bartoszewicz rozpoczął wydawnictwo „Spiewnika Polskiego“, dotąd nieukończone, którego po dziś dzień wyszło zeszytów kilkanaście. Zadaniem tego wydawnictwa było zebrać rozproszone po całym obszarze ziem polskich piosnki narodowo-patrjotyczne, ażeby z jednej strony uchronić je od zatraty, a z drugiej przyczynić się do utrwalenia tradycji i cnót patrjotycznych w jak najszerszych kołach ludności.

Rzecz jasna, że wydawnictwo takie, ażeby cel osiągnęło, musi być bardzo tanie, a kto zna tutejsze stosunki literacko-handlowe, ten wie, że w przedsiębiorstwie podobnem o zyskach mowy być nie może.

P. B. układając z nadsyłanych mu z całego kraju piosnek zeszyty, starał się, ażeby zeszyty te były jak najkompletniejsze, to jest ażeby zawierały utwory wszystkich, o ile można autorów. Są tam więc piosnki Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli, Zaleskiego, Pola i mnóstwo innych, znanych i nieznanych autorów.

Pracował zatem spokojnie nad swojem zadaniem p. B. i jedyną jego nagrodą za mozolną pracę, były wyrazy uznania, jakich mu nieszczędziły pisma publiczne, za to tak pożyteczne i patrjotyczne wydawnictwo.

Nie wszyscy jednakże tak sądzili.

Pan Wł. Gubrynowicz, znany we Lwowie współwłaściciel firmy księgarskiej, posiadał umowę z B. Zaleskim, na mocy której wydrukował zbiorowe wydanie dzieł tego poety — p. Gubrynowicz więc, mając w ręku przez dwa lata blizko kolejne zeszyty Spiewnika, i nie dawszy niczem poznać p. B. swego nieukontentowania, naraz zaskarżył go wprost do sądów karnych, o naruszenie prawa własności przez wydrukowanie w Spiewniku pewnej liczby piosnek Zaleskiego, żądając przytem zniszczenia całego tego wydawnictwa.

Gdy się weźmie na uwagę, że rozpowszechnienie małej liczby wierszyków Zaleskiego nie tylko nie przynosi p. G. szkody, lecz owszem zachęcić może do kupowania zbiorowych dzieł Zaleskiego, gdyż faktem jest, że wydawcy starają się w obszernych cytatach o jak największe rozpowszechnienie wyjątków z wydawanego autora; — gdy się wezmie na uwagę dawne zatargi p. G. z całem gronem księgarzy; — to dochodzi się do przekonania, że źródłem postępku p. G. jest uraza osobista, która wszakże małą przynosi szkodę p. B., głównie zaś krzywdzi

ogół, gdyż uniemożebnić może na przyszłość podobne zbiorowe wydawnictwa narodowych pamiątek i tak niestety nieliczne z powodu ogromu pracy, jakiej wymagają.

Jakkolwiek sądy tę sprawę rozstrzygną*), nie zmieni to położenia rzeczy, bo, nie o prawną kwestję nam tu chodzi. Paragrafy prawa są zwykle ogólne i nie mogą wchodzić w szczegółowy rozbiór pobocznych okoliczności, jak np. cel wydawnictwa, dobro ogółu i t. p., które tu, właśnie istotę rzeczy stanowią. Nadto, są one w różnych krajach różne. Nam idzie jedynie o stronę tej sprawy moralną, w obec której postępek p. Gubrynowicza niech sądzi opinja publiczna.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

(Poezje Izy, Warszawa, Gebethner i Wolf, 1880.)

Wierszydła, które w ostatnich czasach pod mianem poezji pojawiały się w zbiorkach osobnych, lub w pismach osobnych niektórych literackich obudziły słuszną nieufność u publiczności, która każdą książkę zawierającą rymowane płody niedorosłych wieszczów bierze z niewiarą do ręki, słucha opowiadania o nowych talentach poetycznych z pewną apatją, mało co nie powiemy ze wstrętem. I dzieje się w ten sposób niesprawiedliwość; wśród tuzinkowych utworów, które słusznie giną w falach zapomnienia, tonie czasami rzecz mająca pewną wartość, a choć krzywda ta nie trwa długo, bo prawdziwy klejnot zawsze doczeka się własnej oceny, boleśnie ona przecież dotyka autora, a czasem staje się dlań zniechęceniem.

W takich stosunkach tem większym obowiązkiem krytyki jest ścisły pomiędzy ziarnem kąkolu i zboża uczynić wybór i zwrócić uwagę na to, co na uwagę powszechną zasługuje. I szkoda tyko, że nasze pisma perjodyczne w ogóle tak mało zajmują się literaturą i o ważnych bardzo nowościach nie wspomną często i słowem.

Dziwny dowód tego niedbalstwa, czy niechęci mamy właśnie przed sobą. „Poezje Izy“ od kilku miesięcy zalegają półki księgarskie, a przecież dotąd w żadnem z pism naszych nie czytaliśmy o nich wzmianki. Księgarze skarzą się, że nikt nic nie czyta i nie kupuje, aleź nie każdy ma tyle odwagi, aby kupował książkę opierając się tylko na ogłoszeniu inseratowem.

Z tego braku wspomnienia o „Poezjach Izy“ mógłby mniemać kto, że są to tuzinkowe wierszydła, i my nie myśleliśmy czas długi inaczej, a przecież jakżeż miły spotkał nas zawód.

Poezje Izy są dowodem, że talenta poetyczne jeszcze nie zamarły; obok Marji B., stanęła i Iza do szlachetnego współzawodnictwa.

Zarówno jak tamta i ona poezji na nowe nie prowadzi tory, owszem nawet widoczny w niej czuć wpływ ostatnich i najjaskrawszych przedstawicieli romantyki Słowackiego i Ujejskiego, ale chociaż ona w znane zdaje się uderza struny, umie z nich wydobyć dźwięki pełne świeżości i wdzięku i owiać czytelnika prawdziwym czarem poezji.

W zbiorku, który właśnie leży przed nami, nie wszystkie wprawdzie wiersze równej są wartości, są jednak pomiędzy nimi i takie, których by się nie powstydził nie jeden z poetów naszych. Rzecz dziwna, że tłumaczenia z niemieckiego, przekłady Szyllera, Uhlanda, Schwaba Körnera, i Seidla o wiele są słabsze aniżeli poezje oryginalne, pomiędzy któremi znajduje się kilka prześlicznych perełek. W przekładach niektórych Izy zatracił się nawet rytm, ta muzyka wiersza, którą zdawałoby się opanowała nasza poetka w oryginalnych swych utworach w zupełności. W „Przekleństwie wieszcza“ z Uhlanda razi dziwny jakiś ton chropawy, czuć pasowanie się niemiłe treści z formą, zostawiając w uchu akord rozstrojony, którego nie jest w stanie złagodzić gładki i łatwy przekład „Córki Złotnika“, Uhlanda i „Dzwonka szczęścia“ Seidla.

Łagodzi je dopiero i pogodzić się każe z poetką wiersz jej oryginalny p. t. „Nowy Rok w niebie“. Przypomina on może pomysłem, czystością uczuć poemata religijne Lenartowicza, ale jest w nim mimo to tyle świeżości, tyle naiwnej i szlachetnej wiary, a w końcu tyle malowniczości w wyrażeniach pojedyńczych i całych obrazach i tyle melodji w formie, że z całego zbiorku, w którym jak później się pokaże, są rzeczy inne nie małej wartości, rzeczy pełne tęsknego uczucia. „Nowy Rok w niebie“ zwraca na siebie najwięcej uwagi i każe pokłonić się przed poetycznym talentem autorki.

Zachwyca w nim szczególnie, jeżeli tak powiedzieć można, iście liljowa niewinność i nieskalaność uczucia, a dalej obrazowanie, w którem lśnią jakieś, przejrzałe, lekkie jak piórko ze skrzydła anielskiego barwy, jakaś eteryczność malowidła, która przypomina natchnione Fra Bartolomea kompozycje.

Matka Boska na tronie Serafinów zasiadła z dziecięciem i zwołuje aniołów w srebrne dzwoniących struny na kolendę, aby im wydać rozkazy i rozesłać ich w świat ze sercem pociechy dla nędzy, z ziarnem i pieśnią dla ptasząt. Ustęp każdy zadziwia tu rozmaitością i harmonią nadzwyczajną barw, a opisanie odlotu aniołków rozesłanych z rozkazami, okazuje nadzwyczaj bogatą fantazję. Jeden z nich wysłany do ptaszków, których ma „nakryć listkiem od nocnego chłodu“ wysłuchawszy rozkazu uśmiechnął się do siebie

W rączki klasnął, skrzydłem wionął:
Już go nie ma w niebie.

Innego, który ma lecieć do dziatek, by im zasiał w serca zaród cnoty, przestrzega Matka Boska temi słowy:

Lecz jak będziesz wracał w niebo,
Uważaj śród cienia,
Byś nie złamał jakiej gwiazdki
Cichego promienia,

Albo chmurki nie roztrącił
Nieuważnym lotem!
Boć cię wszyscy w niebie znają
Żeś największym trzpiotem!

A aniołek zaróżowiał
Aż po jasne skronie;
Ucałował świetne stopy
Pani , w gwiazd koronie.

I skrzydełkiem swojem chyżem
W świetle zamigota,
I rozpłynął się w oddali
Jakby chmurka złota.

Najpiękniejszem przecież miejscem jest w poemacie opisanie aniołka snu, do którego poetka dobiera najczystszych i najświeższych barw. Kiedy odleciał aniołek do dzieci mówi Matka Boska dalej:

Teraz do mnie zawołajcie
Sennego aniołka;
Pewnie drzemie, gdzieś do chmurki
Przytuliwszy czołka!“

Więc ze śmiechem aniołkowie
W różne biegną strony,
Ten za chmurką, ten za gwiazdką
Szuka pochylony,

Aż ujrzeli wreszcie zbiega
Gdzieś za rąbkiem tęczy,
Przy paciorku zadumany
Snu aniołek klęczy!

Wznosi główkę na wołanie:
Jak lilijka biały,
Włoski mu się na śnieżystą
Szyjkę rozsypały.

Szata na nim dziwnie jasna,
Z mglistego obłoczka —
Idzie, idzie... a rączkami
Wciąż przeciera oczka.

Mleczne blaski księżycowe
Ma na sennej skroni,
A przeróżnych marzeń sploty
Trzyma w drobnej dłoni.

Królowa niebios posała go, aby w dniu tym wszystkie „chore serca spowił różannymi snami“, na wspomnienie o nieszczęśliwych rozpłakał się senny aniołek

I poleciał jak jaskółka
W powietrze różowe:
Jakby lekko wiatrem zwiane
Piórko łabędziowe.

Przytoczyliśmy najpiękniejsze ustępy poeamatu chcąc zachęcić czytelnika do poznania całości. Teraz o innych oryginalnych utworach powiemy jeszcze słowo.

W zbiorku znajduje się kilka utworów o zakroju epicznym. Nie powiemy, aby one należały do najlepszych. Jakaś dziwna niejasność myśli je cechuje, pióro poetki, które tak kryształowe obrazy i myśli, rzuca w liryce swojej, tu staje się jakieś zawiłe i ciemne. Pisząc to mamy przedewszystkiem na myśli legendę p. t. „Srebrny dzwon“ i „Półpierścień“; lepsza o wiele jest romanza „Złoty włos“, która w pewnych miejscach zachowuje charakterystyczny ton romantycznych, rycerskich wieków, „Trzy obrazki z życia Reja z Nagłowic“ za to grzeszą bezbarwnością zupełną, a „Beduin“, powieść wschodnia, wiele tonów zapożycza i z „Ojca Zadżumionych“ i ballady wschodnie Ujejskiego zbyt żywo przypomina, a grzeszy nieznajomością natury orjentalnej chociaż są w nim ustępy wcale piękne.

Najlepiej przecież udają się poetce liryki, a zwłaszcza też te, gdzie przeważa uczucie smętne i tęskne. W wierszach tych znowu bogactwo fantazji przypomina nam żywo autorkę „Nowego Roku“, a połączenie piękna formy z prawdą każe nam mieć wyobrażenie o jej talencie. Najwyżej kładziemy piękny, pełen prostoty i naiwności, a przecież pełen prawdy psychicznej wiersz p. t. „Marzycielka“ i pełen pięknej prawdy społecznej

*) W chwili oddawania niniejszego artykułu pod prasę, w sprawie tej zapadł wyrok 1-ej instancji. Wyrok ten podamy później, po otrzymaniu autentycznego tekstu.

poemat zatytułowany „Mój kwiatek“. Odznacza się również niemałym wdziękiem „Piosenka“, poetycznym językiem wiersz „W pogoni“, rzewną serdecznością wierszyk „Gdybym miała ptasie piórka“. Wymieniliśmy rzeczy najlepsze, ale niechaj nikt nie sądzi ztąd, że reszta nie wiele jest warta. Przeciwnie najdrobniejsza rzecz jest dowodem talentu autorki, talentu, który w dalszym rozwoju może zapewnić jej niepoślednie stanowisko w dziejach nadobnej literatury polskiej. W gronie poetek naszych zwłaszcza zajmie ona niewątpliwie jedno z miejsc pierwszo rzędnych.

B. S.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Gołda Ks.* Środki ku zaradzeniu nędzy stanu włościańskiego w Galicji i W. Ks. Krakowskiem 8ka. str. 42. Kraków 25 ct.

— *Iwan.* Partja szachów. Różne wiersze 8ka str. 200. Kraków 2 zł. 50 ct.

— *Kalinka X. W.* Sejm czteroletni 2 tomy 8ka str. 583. 583. Kraków 1880. 6 zł.

— *Langie Karol.* Ogród warzywny jego urządzenie i pielęgnowanie roślin warzywnych 8ka str. 298. Kraków 1880. 1 zł.

— *Nowicki M. dr.* Zoologja obrazowa, metodycznie opracowana dla niższego stopnia nauki. Wydanie piąte z 554 rycinami 8ka str. 236. Kraków 1880 1 zł. 80 ct.

— *Powszechna księga ustaw karnych.* (Kodeks karny) z dnia. 27. maja 1852 r. Część I. 8ka str. 156. Kraków 1880 1 zł. 60 ct.

— *Prawda i błąd.* Podarek dla uczącej się młodzieży oraz dla miłośników nauki zebrał z najcelniejszych dzieł i zdarzeń Adam Morawski 8ka str 225. Kraków 1880 1 zł. 50 ct.

— *Poezje* Konstantego G.......... Liście wiosenne 8ka str. 181. Kraków 1880 1 zlr.

— *Przyczyny upadku* materjalnego ludu wiejskiego w Galicji i w W. Ks. Krakowskiem 8ka str. 28. Kraków 1880 25 ctn.

— *Szubert Karol.* Rys jeografii powszechnej. Podług trzynastego niemieckiego wydania na język polski przełożony i do potrzeb naszego kraju powiększony, przez dra. Jana Lenartowicza z trzema tablicami litograf. 8ka str. 340. Kraków 1880. 80 ct.

— *Wiesław* czyli krakowskie wesele. Sielanka ludowa w jednym akcie. Podług Kazimierza Brodzińskiego przerobił Krystyn Ostrowski (Spiewy F. Dulkena.) Wyd. dla sceny 8ka str. 48 Paryż 1880 30 centów.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** „Towarzysz pilnych dzieci“ w ostatnim Numerze obiecuje małym swoim czytelnikom na następny kwartał: „Opowiadanie kapitana hiszpańskiego okrętu“ przez dra Jana Stellę Sawickiego; „Starzec z gór“ komedyjkę S. Sokołowskiego; „Powiastki i opowiadania“ skreślone przez p. Joannę Serafińską, oraz współpracownictwo czcigodnego J. I. Kraszewskiego. Jak widzimy, szereg prac ciekawych, które zachęcą niejednego do zaprenumerowania dla dzieci tego pożytecznego i coraz bardziej upowszechniającego się pisma.

*** Z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego ukazała się w tych dniach nowa opowieść, pod tytułem: „Waligóra.“

Utwór ten, zawarty w trzech tomach, osnuty jest na tle czasów Leszka Białego.

*** Świeżo opuścił prasę szósty a zarazem ostatni tom dzieł Krasickiego, wydawanych w zupełnej edycji pod kierunkiem pana Piotra Chmielowskiego.

*** Znana krotochwila Edwarda Lubowskiego pod tytułem „Czarnokwit“ ukazała się świeżo w handlu księgarskim.

*** W ostatnim zeszycie „Biblioteki warszawskiej“ spotykamy początek opowiadania z lat 1798 do 1813, pod tytułem: „Od szkolnej ławy“ przez Kajetana Kraszewskiego.

Jest to ciekawy przyczynek do historji tych legjonów, które Napoleon I zawiódł do Hiszpanji.

Na tle tam historycznem przedstawia autor dzieje kilku sodalisów hrubieszowskiego konwiktu, których losy splotły się z sobą od szkolnej ławy, a serca potrafiły przetrwać niezmienne i niezachwiane od czasów tych do grobu.

*** Wyszedł z druku podwójny zeszyt „Przeglądu Technicznego za luty i marzec.

Spotykamy w nim naprzód początek obszernej pracy inż. Alfonsa Rześzotarskiego o nowszych ulepszeniach, doświadczeniach i badaniach, dokonanych w zakresie stali zlewnej.

Rozprawa ta zapowiada się nader poważnie.

Wydawca pisma p. Stefan Kossuth podaje dalszy ciąg swych uwag w przedmiocie słownictwa technicznego.

Autorowie kujący nieopatrznie nowe wyrazy a nie znający dawnych, już istniejących, winniby zajrzeć do tego artykułu, pełnego zdrowych poglądów na kwestję słownictwa technicznego, będącą obecnie na porządku dziennym, tak w Warszawie, jak i w Galicji.

Dalej następują artykuły: pp. H. Polaczka o dyfuzji, S. M Boguckiego o maszynach złożonych i A. Graffa i o diadramie Zennera.

W kronice tego zeszytu podaną jest krótka odpowiedź w kwestji projektów Lindleya.

*** „Kosmos“ czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika w zeszycie II. z r. 1880 zawiera: 1. Siódme walne zgromadzenie polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika. 2. Streszczenie wykładu prof. dra Żmurki. 3. Szkice teorji objawów szczątkowych przez dra Juljana Ochorowicza. 4. Kronika naukowa przez J. Ochorowicza, St. Wielowiejskiego, R. Zachera i M. D Wąsowicza. 5. Wiadomości bieżące.

*** W Paryżu ukazał się pierwszy tom zbiorowego wydania dzieł Wiktora Hugo, zawierający utwory: „Hernani,“ „Marion Delorme“ i „Le roi s'amuse.“

*** Grant wydał opis podróży swej naokoło ziemi, którą odbył w ostatnich trzech latach.

*** W Frejburgu odkryto rękopism o którym znawcy twierdzą na pewno, że pochodzi z drugiej połowy VIII wieku. Obejmuje w sobie psalmy Dawida i przewieziony został zapewne z jednego z nadreńskich klasztorów do Frejburga. Bibljoteki w Heidelbergu i Donaueschingen posiadają bardzo stare manuskrypta, ale okazuje się, że odkryty rękopism należy do dawniejszych jeszcze zabytków.

*** Akademja francuska naznaczyła wybór następcy Juljusza Favra na 13-go maja; kandydatami są: Paweł de Saint-Victor, Karol de Mazade, Karol Monselet i adwokat Rouse.

*** W Brukseli niedawno temu obchodziła pięćdziesięciolecie istnienia swego znakomita firma nakładowa Muquards, a upamiętniła jubileusz wydaniem kilkudziesięciu tomów rozmaitych dzieł poważnej treści, po największej części historycznych.

Niezależnie od tego założone staraniem tej firmy Towarzystwo geograficzne sporządziło wielki globus, mający metr obwodu, sprzedający się po bardzo niskiej i dla wszystkich przystępnej cenie.

Sztuki piękne.

*** Henryk Siemiradzki zajęty jest obecnie pracą nad wielkim obrazem z dziejów upadającego Rzymu „Tyberjusz na wyspie Capri“.

*** Z Monachjum donoszą nam, iż Brandt pracuje pilnie nad wykończeniem wielkiego płótna przedstawiającego „Tatarów łowiących stado tabunów na arkan“.

Jest to epizod z XVIII. wieku z okolic Bałty.

*** Leopolski, bawiący obecnie w Wiedniu, wykończył portret ministra Ziemiałkowskiego i przeznaczył go dla muzeum sztuki im. Siemiradzkiego w Sukiennicach.

*** Na wystawie warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych umieszczone zostały w ciągu dni ostatnich następujące obrazy:

Stanisława Heymana: „Portret“, Adolfa Jacobiego: „Studjum z natury“, Władysława Maleckiego: „Polowanie“, tudzież „Góra Turelce“, wreszcie Mireckiego: „Łabędzie“, oraz „Brzeg Wisły pod Krakowem po zachodzie słońca“.

*** W paryskiej szkole sztuk pięknych rozpoczęły się pierwsze konkury o „grands prix de Rome“; liczba nagród wynosi cztery: malarstwo, rzeźbiarstwo, architektura i sztycharstwo.

*** Jubileusz dwóchsetny odsieczy wiedeńskiej zwrócił uwagę na pamiątki, zabytki i dzieła sztuki, mające związek z owym faktem dziejowym; uczony niemiecki, dr. Ilg, napisał obszerny artykuł o kościele żółkiewskim i przechowanych w nim pomnikach.

Szkoły.

Ogłoszony został niedawno ciekawy memorjał magistratu poznańskiego w sprawie szkół miejskich.

Dowiadujemy się z niego, że ogólna liczba klas w tychże szkołach wynosi 101, — z których 53 przypada dla chłopców, a 48 dla dziewcząt

Skład osobisty nauczycielski składa się ze 118 osób, czyli z 98 nauczycieli i 20 nauczycielek.

Dzieci do szkół miejskich uczęszcza razem 6076, a w tej liczbie 3140 chłopców i 2936 dziewcząt.

Pod względem narodowości stosunek jest taki: uczęszcza do szkół w Poznaniu 3053 dzieci polskich, a 3023 niemieckich.

Pod względem wyznania dzielą się uczniowie i uczennice na trzy grupy: katolików jest 3498, ewangielików 2204, żydów 374.

Memorjał zawiera bardzo oryginalne uwagi, których parę dla osobliwości warto przytoczyć:

„Żądanie, tłumaczy w sprawozdaniu swem magistrat, aby liczba nauczycieli w pojedyńczych klasach, podług narodowości i wyznania odpowiadała liczbie dzieci pod tymże względem tak np. aby w razie, gdyby w której szkole było cztery piąte dzieci polskich, także cztery piąte Polaków być miało, — uniemożliwiłoby wszelką korzyść i wzrost nauki w poszczególnych szkołach naszych, albowiem podług istniejących rozporządzeń językiem wykładowym jest język niemiecki, więc dziecko polskie musi o ile możności jak najprędzej dojść do pewnego stopnia władania tym językiem, a nauczyciel Polak w katolickiem (polskiem) kształcony seminarjum, zwykle sam słabo włada językiem niemieckim, i nie może dzieci polskich dostatecznie tego języka nauczyć“...

Rozumowanie szanownego magistratu poznańskiego o tyle rzeczywiście wydaje się słusznem, o ile prawdą jest, że jedno nadużycie może być źródłem wielu innych nadużyć,— które zazwyczaj stają się nieuniknioną koniecznością systemu opartego na złej i fałszywej zasadzie.

„Doświadczenie nauczyło nas,— są dalsze słowa memorjału,— że im większa jest liczba dzieci polskich w szkole, tem mniej powinno w niej być nauczycieli Polaków“...

Do wniosku tak wysoce dowcipnego magistrat poznański doszedł drogą następującego rozumowania:

„Dzieci niemieckie, mając ciągły stosunek z polskiemi w tej samej szkole, przyczyniają się bardzo do szybszej nauki języka niemieckiego przez dzieci polskie, i wielką są pomocą nauczycielom; im mniej przeto jest dzieci niemieckich w szkole, tem mniej pomocy mają nauczyciele, a brak ten zastąpić tylko można przez wzmocnienie żywiołu niemieckiego w składzie nauczycielskim.“

W takito sposób nawet dzieci niemieckie zdaniem magistratu, mają polityczną rolę do spełnienia. Ci mali chłopcy na ławie szkolnej nie są po prostu uczniami, jakby się zdawało, i jakby niezawodnie być powinno. Nie, oni są zarazem mistrzami względem rówienników i kolegów narodowości polskiej, dopomagają swym nauczycielom do przerabiania Po-

laków na Niemców, — oni służą już teraz bezwiednie za narzędzia widokom kulturtregerskim, nim z kolei czynny, świadomy udział brać zaczną.

Naipocieszniejszą stronę memorjału stanowią skrupuły magistratu, — któremu niewiadomo dlaczego, idzie o to, aby zachować jakiś pozór moralności społecznej.

„Naturalnie, że sprawiedliwość (zkąd się tu wzięła sprawiedliwość? R.) wobec narodowości polskiej wyznania katolickiego nakazuje aby zmniejszanie się żywiołu polskiego w składzie nauczycielskim, nie przekraczało pewnej, słusznej granicy.“

Doprawdy, — ta nagle zaimprowizowana sumienność jest bardzo zabawną.

Cóż jednak uważa magistrat za „pewną, słuszną granicę.“

„Gdyby nasze życzenia decydowały, wyraża sie skromnie w memorjale, to pragnęlibyśmy, aby w składzie nauczycielskim reprezentowany był żywioł niemiecki i polski w równej liczbie, to jest aby 3023 dzieci niemieckich, a 3053 polskich, nauczało 59 nauczycieli niemieckich i 59 polskich. Ciągle staramy się o to, aby dojść do tego stosunku, — jeśli zaś obecnie mamy 46 nauczycieli Polaków, a 72 Niemców, to przyczyną tego są faktyczne trudności, które większemi okazały się od naszych życzeń“.

I dalej, rozwodzi się magistrat z żalami, że kandydaci polscy na posady nauczycielskie, bywają zwykle niedość wykształceni w języku niemieckim, a zatem...

„Mimo naszej chęci, i wbrew pojęciom naszym o równości (!) i pedagogicznej stosowności (!), musimy... używać więcej nauczycieli *nieumiejących wcale po polsku*“...

Przed tak genialną logiką, i olbrzymią „sprawiedliwością“ pochylamy głowy z podziwem.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Od rodziny poetki naszej Narcyzy Żmichowskiej dowiadujemy się, że wkrótce po tak zawcześnie dla sztuki i kraju nastąpionym jej zgonie ceniony rzeźbiarz Cyprjan Godebski oświadczył gotowość ozdobienia jej mogiły odpowiednim pomnikiem, by nim godnie zastąpić skromny, dotąd prosty ją pokrywający kamień.

⁂ Gazeta „Memeler Dampfboot“ donosi, że hr. Tyszkiewicz, hr. Plater i ks. Ogiński otrzymali w Petersburgu koncesję bez gwarancji na wybudowanie kolei między stacją Możajki i Krotingen. Tym sposobem Memel, miasto portowe nad zatoką Kurońską, zostanie połączone z kolejami prowadzącemi przez Mitawę i Rygę, lub Szawle i Dynaburg do Petersburga.

⁂ Zmarły niedawno w kantonie Vaud Francuz Borne przekazał cały swój dość znaczny majątek akademji w Lozannie, wraz z bibljoteką, zielnikiem i dziełem niewydanem p. t.: „Maximes et aphorismes du docteur Borne“; dzieło to, według ostatniej woli zapisodawcy, ma być wydrukowane dopiero po upływie stu lat we wszystkich językach znanych i rozesłane po egzemplarzu bibljotekom całego świata.

⁂ W Moskwie urządzoną ma być w r. 1881 wszechrosyjska wystawa przemysłowo-artystyczna.

Wystawy ogólno-krajowe, zwłaszcza w tak obszernem państwie jak cesarstwo rosyjskie, zbliżając producentów z konsumentami, wielce przyczyniają się do rozwoju krajowego przemysłu w ogólności.

Jak dalece zaś wystawy tego rodzaju korzystnie oddziaływają na przemysł Królestwa Polskiego, dosyć jest przytoczyć wiadomy powszechnie fakt, będący niewątpliwie jednym z rezultatów wystaw ogólno-krajowych, że produkcje tamtejszego przemysłu nietylko fabrycznego, lecz nawet i rzemieślniczego, bardzo znaczny znajdują odbyt w wewnętrznych gubernjach cesarstwa.

⁂ Amerykański dr. W. Sampson za przedmiot do odczytów wybrał sobie wykazanie, jaki wpływ wywierają perfumy na wychowanie i charakter kobiet.

Dwudziestoletnie obserwacje na bardzo znacznej liczbie kobiet doprowadziły prelegenta do wniosku, że np. piżmo usposabia do łagodności, czułości i wrażliwości; róża, owa piękna królowa kwiatów, wyrabia dumę, ale obok nich skąpstwo i bezczelność, zapach geranium zmiękcza charakter; fijołek doprowadza do marzycielstwa i mistycyzmu, benzoes rozbudza ducha poetycznego, ale razem jest podnietą do niestałości; mięta nadaje chytrość i skłonność do handlu; werwena wyrabia smak do sztuk pięknych; paczula jest źródłem chorób: skóra ruska wpływa na tuszę i odejmuje czułość, ale najniebezpieczniejszem pachnidłem ma być dzisiaj modny ylang ylang.

Doktor S. zaręcza, że gdyby ylang-ylang był wówczas istniał, to począwszy od Lais i Fryne a kończąc na Marguericie Gautier wszystkie kobiety nie używałyby były innych perfum jak ylang..

Teorja amerykańskiego prelegenta ma nieocenioną praktyczną wartość.

Kandydat do stanu małżeńskiego nie potrzebuje już trudzić się nad zbadaniem charakteru swej przyszłej, do tego wystarczy mu... jeden zmysł powonienia!

⁂ Partja szachowa, rozgrywana pomiędzy Warszawą a Moskwą, przedstawia sie następująco:

I. Partja Wiedeńska.

Białe — Warszawa.	Czarne — Moskwa
1) E2 - E4	1) E7 — E5
2) B1 — C3	2) B8 — C6
3) G1 — F3	3) G8 — F6
4) F1 — B5	4) F8 — B4
5) C3 — D5	5) F6 — D5
6) E4 — D5	6) C6 - D4
7) F3 — D4	7) E5 — D4
8) D1 — G4	8) D8 — F6
9) F2 — F4	9) Roszują

II. Partja Ponziam.

Białe — Moskwa	Czarne — Warszawa.
1) E2 — E4	1) E7 — E5
2) G1 — F3	2) B8 — C6
3) C2 — C3	3) G8 — F6
4) D2 — D4	4) F6 — B4
5) D4 — D5	5) C6 - D8
6) F2 — D3	6) E4 — C5
7) F3 — E5	7) C5 — D3
8) D1 — D3	8) F8 — E7
9) Roszują	

ZNAJOMY Z SOLANO.

SZKIC AMERYKAŃSKI.

przez

Bret-Harta.

Było to w Academy of Music w New.Yorku. Spotkałem go na korytarzu pierwszego piętra; — trudno byłoby znaleść więcej zajmującą postać na całem tem przedstawieniu Fausta Gounod'a. — W ubraniu tej postaci każdy kawałek był odmiennego koloru; widać było wyraźnie, że zaledwie na godzinę przed tem było kupione i włożone. Firma magazynu ubrania, przymocowana jeszsze do kołnierza, wzmacniała i upewniała domysły, wtajemniczając przytem nieco natrętnie publiczność co do miary, numeru i ceny ubrania.

Wzdłuż bocznego szwu pantalonów, widać było mocne fałdy, świeżo zrobione żelazkiem, co je prasowało; takiż fałd od prasowania przedzielał plecy sukni na dwie połowy, a z powodu tego znaku, żywo się przypominały figurki jakie dzieci wykonywują ze składanego papieru. Sumienność nakazuje mi dodać, że świadomość tego wszystkiego nie odbijała się wcale na twarzy osobistości. Twarz jego była dobroduszną, i z wyjątkiem pewnego właściwego sobie ostrego rysu około podbródka, nic a nic nie wyrażała.

— Pan już mię nie poznajesz? — przemówił krótko węzłowato, podając mi rękę: — Jestem z Solano, z Kalifornji. Spotkałem tam pana na wiosnę 57 roku. Pasłem wtedy owce, a pan paliłeś węgiel drzewny. — W wspomnieniu tem nie znać było ani cienia niedelikatności. Było to proste przedstawienie faktu i powinno było być przyjętem jako takie.

— Dla czego ja pana zatrzymuję? — ciągnął dalej, potrząsając moją ręką. — Rzecz oto taka: widziałem, że pan stałeś w loży, tam wysoko, obok ładnej, sprytnej jakiejś młodej damy i słodko pan na nią spoglądałeś. Czy też można się dowiedzieć, jak się ta dama nazywa?

Wymieniłem mu nazwisko słynnej piękności z sąsiedniego miasta, która bawiła kilka tygodni w metropolji; czarowała ona serca młodych ludzi, a szczególnie była wielbioną przez niejakiego Dashboard'a, eleganckiego i zachwycającego młodzieńca, który stał tuż obok mnie. Solańczyk namyślał się chwilę, potem rzekł jakby sam do siebie:

— Tak, tak! To samo imię! To ta sama dziewczyna!

— Więc pan ją już kiedyś widział! — zapytałem zdziwiony.

— Ta-a-ak, — odrzekł przeciągle, — widziałem ją kilka miesięcy temu; podróżowała po Kalifornji z przyjaciółmi. Widziałem ją na pociągu z tej strony Renu. Zgubiła swój recepis na pakunek. Znalazłem go na ziemi, oddałem jej, a ona mi za to podziękowała. Myślę, że należałoby pójść teraz do niej i powiedzieć, że ją poznałem.

Chwilę milczał, patrząc na nas niezdecydowany.

— Panie kochany! — przemówił w tej chwili elegancki i zachwycający Dashboard — Jeżeli pan się wahasz, nie będąc pewnym, czy pańskie ubranie stosowne — to proszę sobie nic z tego nie robić... Tyrania zwyczaju zmusza mnie i pańskiego przyjaciela ubierać się podług pewnych przepisów. Co się tyczy pana, to mogę zapewnić, że trudno wyszukać coś powabniejszego od sposobu, w jaki oliwkowo-zielony kolor pańskiego surduta przechodzi w delikatną żółciznę pańskiej krawatki, lub kontrastu, jaki tworzy szaro-perłowy kolor pańskich pantalonów z jasnym błękitem kamizelki, szczególniej w połączeniu z masywnym łańcuszkiem ze złota talmi, który pan nosisz?

Człowiek z Solano ani pomyślał odpłacić Dashboardowi policzkiem za jego ironię. Przeciwnie: spojrzał na niego z uroczystą powagą i rzekł flegmatycznie:

— Jednakże myślę że najlepiej będzie, jeśli pan mię zaprowadzi do niej.

Nie mogę przemilczeć, że Dashboard był zrazu niby zbity nieco z tropu; przecież prędko odzyskał przytomność, skłonił się ironicznie i poszedł do loży. Człowiek z Solano i ja szliśmy za nim. Przypadek zrządził, iż piękność, o której mówimy, była damą w całem znaczeniu tego wyrazu; po przedstawieniu więc jej cudzoziemca, — którego Dashboard ledwie oszczędzał, — zaraz zrozumiała sytuację. Ku najwyższemu zdziwieniu Dashboarda przysunęła jedno z krzeseł do swego i poprosiła cudzoziemca ażeby usiadł, przez co naturalnie musiała się obrócić plecami do pierwszego, i w obec rozpromienionej publiczności teatru, pod ogniem kilkuset lornetek, żywo zajęła się rozmową z nowym znajomym. Dla uchronienia od opuszczeń mojej opowieści, powinienbym jescze dodać, że wkrótce rozmowa ta przybrała charakter niezmiernie zajmującej: zaczęto prawić bądź żartem, bądź serjo, o różnych nadzwyczajnościach. Istotnie jednak nic nie wyrażała: była w najwyższym stopniu pustą. On silił się naciągnąć rozmowę na zgubiony recepis i niweczył wszelkie najsztuczniejsze usiłowania damy, chcącej ją zwrócić na inny przedmiot. Nakoniec, ku ogólnemu zadowoleniu powstał i rzekł schylony nad krzesłem damy:

— Mam zamiar zostać tutaj jeszcze jakiś czas, miss; a ponieważ oboje jesteśmy nie tutejsi, to gdyby się zdarzyło widzieć znowu coś takiego, jak tutaj, może moglibyśmy razem —...

Dama przerwała mu z pewną skwapliwością, wymawiając się, że to będzie dla niej niemożebnem z powodu licznych zaprosin, jakie otrzymała, i danych na wzajem przyrzeczeń; a przytem krótkość jej pobytu w New-Yorku... i t. d. Dwie drugie damy przyciskały do ust chusteczki, i, nie odwracając głowy, patrzyły na scenę. Solańczyk zaś ciągnął dalej:

— Jednak może się wydarzyć, miss, że będzie coś takiego, co to by warto widzieć, jak naprzykład tutaj; więc gdyby miss zechciała pójść ze mną, to proszę dać mi znać do hotelu Karlos'a przy ulicy Kanałowej, pod adresem... — I wyciągnął z kieszeni około tuzina zmiętych, wytartych listów; zdjął kopertę z jednego, wręczając ją damie z rodzajem pożegnalnego ukłonu.

— Jutro mamy wielki bal na cel dobroczynny w Academy of Music! — podchwycił Dashboard, który nigdy nie opuszczał sposobności do zrobienia psoty, lub żartobliwej uwagi. — Miss X zapewne tam pójdzie. Bilety kosztują bagatelę, a zwłaszcza dla zamożnego Kalifornijczyka i jak pan niepospolicie bogatego! Przytem cel tak piękny! Dla pana nic nie znaczy kupić jeden bilet.

Piękne oczy miss X. utkwiły przez chwilę w twarzy Dashboarda. — W każdym razie — odparła, zwracając się do Solańczyka, — ponieważ pan Dashboard jest jednym z członków dyrekcji, a pan jesteś cudzoziemcem, to on z pewnością przyszle panu bilet gościnny. Znam pana Dashboarda oddawna i bardzo dobrze, wiem przeto dokładnie, iż jest niezmiennie i niestrudzenie uprzedzającym dla cudzoziemców».

Po tych słowach obróciła się w swym fotelu na prawo twarzą ku scenie. Solańczyk dziękował New-Yorczykowi ściskał ręce wszystkich siedzących w loży i zabierał się do wyjścia. Dochodząc już do drzwi, zwrócił się raz jeszcze do miss X:

— Czyż to nie dziwna rzecz, miss, że mianowicie ja znalazłem recepis na pakunek? Ale w tej samej chwili podniesiona kurtyna odsłoniła scenę w ogrodzie, co tak pochłonęło uwagę miss X, że nasz Solańczyk uważał za rzecz stosowną zamknąć drzwi loży i nie rozpoczynać na nowo rozmowy o zgubionym recepisie.

Wyszedłem za nim; a ponieważ myślałem, że na tej drodze, na jaką wstąpił, zagrażają mu liczne niebezpieczeństwa, pospieszyłem oznajmić mu, że młoda dama otoczona jest hołdownikami, że kwiat młodzi eleganckiego świata jest na jej rozkazy, i nakoniec, że według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ona narzeczoną Dashboarda.

— Tak, tak! — mówił on spokojnie i bez śladu zdziwienia. — Byłoby to nadzwyczaj dziwną rzeczą, gdyby się tak nie stało. Ale, zdaje mi się, najlepiej będzie pójść teraz do hotelu. Nic tam nie warte takie wrzaski! — I kiwnął głową z wyrazem najwyższej pogardy, wskazując na scenę, w tej chwili właśnie, kiedy po całym gmachu czarownie rozledz się miały najpiękniejsze arje spiewaczki w roli Margarity.

— Która to godzina być może? — Pytanie to zwrócił do samego siebie, gdyż natychmiast wyjął swój zegarek. Zegarek ten była to rzecz najwidoczniej podrobiona, fałszerstwo tak rażące, że byłem całkiem odurzony.

Zadziwia pana mój zegarek? — spytał on. — Wygląda dosyć ładnie! Ale rzecz sama nie warta ani grosza. A mimo to cena jego wynosiła 125 dollarów w złocie. Przypadkiem napotkałem to onegdaj na Chatham-Street, gdzie takie rzeczy tanio sprzedają z licytacji.

— Ależ najhaniebniej oszukano pana — rzekłem z niechęcią.

— Zegarek razem z łańcuszkiem nie wart i dwudziestu dollarów.

— A czy wart 15? — spytał poważnie.

— No, tyle to jeszcze...!

— Bo ja sądzę, że to w każdym razie był dobry interes. Musisz pan wiedzieć, powiedziałem tym ludziom, że jestem Kalifornijczykiem z Solano, i nie mam przy sobie krajowych papierowych pieniędzy. Ale miałem trzy sluggsy. Pamięta pan, co to takiego sluggsy? — Odrzekłem, iż wiem dobrze, że to jest rodzaj pamiątkowych medali z najdawniejszych czasów kalifornijskich; sześciokątna sztuka złota, prawie dwa razy tak gruba, jak sztukaa dwudziestodollarowa, a wartująca, jak zwykle bywa, około 50 dollarów.

— Bardzo pięknie, — ciągnął on dalej, otóż dałem tym ludziom moje trzy sluggsy, a oni dali mi zegarek. Ale trzeba panu wiedzieć, że te sluggsy sam zrobiłem ze złota talmi i mosiądzu; istotnie były tak dobrze podrobione, że grając w karty, udawało się okpiwać kalifornijską młodzież. Ponieważ sluggsy nie są w obec prawa taką monetą, jaką rząd bije, więc nie dopuściłem się fałszerstwa monety. Policzywszy zaś czas, materjał i pracę, to one mię razem kosztują 15 dollarów; dla tego też zegarek ten uczciwie był zapłacony, byle w rzeczy samej wart był tyle.

Powoli pojęcie moje o człowieku z Solano zaczęło się rozjaśniać. Spuściłem głowę, mówiąc, że interes był uczciwy.

On wsunął ostrożnie swój zegarek do głębokiej kieszeni i bawiąc się brzęczącym łańcuszkiem z miną prawdziwie zadowolonego człowieka, zauważył:

Zaraz inaczej się wygląda! Szykownie i zamożnie! Nieprawdaż?

Potakiwałem ciągle.

— Ale cóż właściwie będziesz pan tu porabiał? — spytałem po chwili milczenia.

— Mam czystego kapitału 700 dollarów. Nim przedsięwezmę jaki stały interes, muszę się trochę rozejrzeć na Walt-Street.*

Miałem już na ustach kilka praktycznych ostrzeżeń. Lecz rzut oka na jego błyszczący łańcuszek starczyło, abym zamiaru zaniechał.

Uścisnęliśmy sobie ręce i rozeszli się.

W kilka dni później spotkałem mego starego przyjaciela z Solano na Brodway. Miał na sobie nowiuteńkie, jak z igły ubranie; zdawało mi się, że dostrzegam w tym kostiumie pewną wyższość nad poprzednim. Można było dokładnie rozróżnić ni mniej ni więcej jak pięć rozmaitych kolorów. Zresztą mógł to być tylko prosty przypadek. Zapytałem go, czy był na balu.

— Tak! — odrzekł. Ta panienka była także. A niezmiernie to eleganckie stworzenie! Ale była tak lękliwa i prawdę mówiąc, jakby stroniła odemnie! Umyślnie kupiłem nowe ubranie, aby tam pójść.

* Walt-Street znana dzielnica giełdowa w New-Yorku.

Lecz te kelnery w swych czarnych frakach i białych krawatach nie dali mi do niej przystąpić i rozmawiać dalej o zgubionym recepisie. Jeden tylko młody chłopiec, ten Dashboard, był dla mnie bardzo grzeczny i delikatny, o ile może być mężczyzna dla mężczyzny. Przyprowadził do loży całą gromadę młodych panów i panien w cudownie pięknych sukniach, aby mnie z nimi poznajomić. A potem prosił mnie bardzo, aby z nim pójść na Wall Street i na giełdę.

Na drugi dzień rano przyszedł istotnie i zabrał mnie z sobą. Kupiłem akcyj różnych coś za 500 dollarów, czy więcej. To jest mieliśmy akcje. Trzeba panu wiedzieć, miałem z sobą dziesięć akcyj wydawnictwa dzieł illustrowanych Peacock, którego byłeś pan kiedyś sekretarzem.

— Ależ te rzeczy nie warte ani grosza! Cała ta nieuczciwa spekulacja dawno w łeb wzięła! — zawołałem z przestrachem.

— Bardzo być może, jeżeli pan tak powiadasz. Ale ja znowu nie rozumiałem się wcale na waszych kompaniach kolejowych, nafto-gazowych i tym podobnych rzeczach. Myślałem, że to całkiem uczciwy interes. Wiem tylko, że koniec końców dostawałem coś przecie za moje akcje, i że miewałem zwykle wychodząc z Wall-Street, gdzie mieniałem ciągle na srebro, o 444 dollary więcej, niż kiedy tam wchodziłem. A przecież musisz przyznać, że przytem zawsze coś ryzykowałem, gdyż akcje Peacock mogłyby bodaj znowu ożyć!

Popatrzyłem mu w oczy. Miał minę nad wyraz spokojną i niezmienioną. A jednakże uczułem pewien rodzaj strachu przed tym człowiekiem, a raczej przed sobą samym, że się tak mogłem na nim nie poznać.

Po kilku oziębłych słowach o innych rzeczach, ścisnęliśmy się za ręce i rozeszli.

Nim znowu ujrzałem mego Solańczyka upłynęło parę miesięcy. Gdy mię to szczęście spotkało, dowiedziałem się, że on zaczął regularnie odwiedzać giełdę, i rozpoczął prowadzić bankową spekulację w małem biurze na Brod-Street. Ponieważ nasze ponowne spotkanie żywo mi przypomniało pierwsze w Academy of Music, zapytałem go, czy odnowił znajomość z miss X?

— Słyszałem, że tego lata była w New-Porcie, — przerwał, — i pojechałem tam na tydzień.

— I mówiłeś pan z nią o recepisie?

— Nie, — odrzekł z niewzruszoną powagą. — Dała mi polecenie kupienia dla niej trochę akcyj. Musisz pan wiedzieć, że eleganckie chłopcy, co się uwijali koło niej, dopogli znowu naszemu zbliżeniu. A ona sobie myślała, że najlepiej będzie zrobić na tem niby spekulację. Mówię panu, to niepospolita dziewczyna! Czy pan słyszałeś o wypadku, jaki się jej wydarzył?

Nic o tem nie słyszałem.

— Rzecz jest taka. Mieli oni popłynąć w jachcie jednego z szykownych kawalerów; ja także byłem zaproszony. Całą historję ułożył Dashboard, który teraz ma się żenić z miss X... Trudno opowiedzieć, jak to wszystko było,— dość, że nagle drąg żaglowy uderzył ją i zepchnął z pokładu. Przestrach był okropny. Musiał pan o tem słyszeć?

W istocie nic o tem nie słyszałem. Lecz instynktem romansopisarza przedstawiłem sobie wkrótce to wszystko żywo, jaskrawo, poetycznie. Przecież mógł nakoniec ten biedny chłopczysko okazać jej swe czułe uczucia, czego mu niedozwalała wcześniej niezręczność. Znalazł tedy dobrą sposobność ku temu!

— Przestrach był okropny! — ciągnął dalej. — Pobiegłem na miejsce, z którego spadła z pokładu, i widziałem, jak to śliczne stworzenie było już w odległości około dwunastu yardów od nas, a ja —

— Skoczyłeś pan za nią. — wyrwało mi się mimowolne pytanie. —

— Ja? czemuż ja? — przerwał, nie zmieniając miny— Na to był tam kto inny! Zostawiłem mu co do niego należało, a ja po prostu patrzyłem.

Utkwiłem weń oczy uporczywie, milcząc przez chwilę.

— Nie, — mówił on dalej tym samym poważnym tonem. Był tam inny, co wskoczył w wodę i nie bezinteresownie tak postąpił. A zresztą czy pan nie wiesz, że chociażbym koło niej się kręcił, i przynosił kwiaty, i prawił czułości, to zawsze byłby ją inny zaślubił: toż samo stałoby się, gdybym ją był wyciągnął z wody. W całej tej sprawie nie było dla mnie nic do roboty, ani do wygrania; inaczej byłoby, gdyby ten pan poszedł pod wodę — miałbym wtedy najlepszą okazję. To też bacznie śledziłem jego ruchy. —

— Więc on ją uratował?

— Naturalnie, wyratował! — była odpowiedź. I spostrzegłszy zdumienie na mej twarzy, ciągnął dalej niezmienionym głosem.

— Widzę, że pan mnie nie rozumiesz, lękam się, że pan także mnie nie rozumiałeś w Kalifornji. — Nie wiele mam już do powiedzenia o moim Solańczyku. Jako curiosum, jako rzekłbym «okaz prawdziwej głupoty kalifornijskiej,» stawał się on z każdym dniem coraz popularniejszym, więcej znanym. Zapraszano go z powodu jego oryginalności; czyniono go nawet częstokroć przedmiotem głośnych żartów i w ten sposób zaznajomiano z mnóstwem takich ludzi, z którymi nigdyby się inaczej nie był spotkał. — Zauważyłem oraz, że jego pierwotne 700 dollarów ciągle się pomnażały i widocznie dobrze stały jego interesa. Rozmaite kalifornijskie akcje i papiery wartościowe, o których od lat dziesięciu wiedziałem to jedynie, że w grobach swoich przodków w proch się rozsypały, teraz, jakby przez zaklęcie, znowu ujrzały światło dzienne. I jeszcze żywo sobie przypominam ten zabobonny prawie przestrach, jaki mię ogarnął pewnego poranku, gdy przepatrując wykaz kursów pieniężnych ujrzałem na własne oczy miarę «kompania kopalń Dead-Beat-Beach.» Doszło nakoniec do tego, że rozmaite osoby zaczęły już nie tylko podziwiać Solańczyka, ale także i podejrzywać. Aż nareszcie, w pewnym wypadku, podejrzenia te musiały sprowadzić wybuch, który położył kres jego szykownej karjerze w metropolji.

Od dłuższego czasu życzył on sobie, aby go przyjęto do pewnego modnego klubu, i w rzeczy samej, ze względu na dobrą sposobność do wypłatania mu figla, został zaproszonym przez klub do wzięcia udziału w rozmaitych uroczystościach, a mianowicie w wieczorku wydanym dla niego. Rzecz przyszła do skutku, i kiedy zaciekawiony poszedłem następnego poranku do klubu chcąc się dowiedzieć o całej tej historji, miałem szczęście usłyszeć na wstępie, w pierwszym zaraz pokoju te słowa:

— On ich oskubał wszystkich. Musiał włożyć do torby z 44.000 dollarów, policzywszy wszystko razem.

— Któż to taki? zapytałem, — zbliżając się do dwóch panów, z których jeden wyrzekł te wyrazy.

— «Ten Solańczyk.»

Zbierałem się do odejścia gdy jeden z obecnych młody człowiek znany jako miłośnik sportu, położył mi rękę na ramieniu, pytając:

— Ale w rzeczy samej! Czemże się trudnił pański przyjaciel w Kalifornji?

— Był pastuchem!

— Był czem?

— Pastuchem, który bez troski pasał swoje owieczki na bujnych urwiskach w Solano, tak jak je teraz strzyże na bruku wielkiego miasta!

Doprawdy? Co do mnie to bierz pana licho ze wszystkiemi jego kalifornijskiemi sielankami razem!

Od Redakcji.

Z powodu licznych żądań 1-go kwartału Tygodnia Polskiego, zawiadamiamy, że kwartał ten jest już zupełnie wyczerpany. Wskutek tego z ostatnim Numerem Marca ukończymy drukujące się obecnie artykuły i powieści, tak, że z dniem 1 Kwietnia r. b., Tydzień wszystkie artykuły rozpocznie nowe, oprócz powieści Jana Lama p. t. Dziwne Karjery, której zacznie się Tom II-gi.

Wszyscy zaś nowi prenumeratorowie Tygodnia otrzymają 1-szy tom Dziwnych Karjer bezpłatnie, w oddzielnej odbitce.

Treść Nr. 13. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.